

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom LII

J. I. KRASZEWSKI

BANITA

CZASY BATOREGO

CZEŚĆ III



1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225.



I.

Ktoby był mógł zajrzeć w duszę Samuela, gdy się ze Złoczowa z braćmi rozjeżdżała, obiecując znowu wkrótce spotkać się z nimi, pomimo pozornej radości, jaką przybierał, ochoczego poruszenia się, pośpiechu, z jakim się miał brać do czynu, — odkryłby na dnie jej gorzki i głęboki smutek.

Życiem, bojem, szalem wszelkim, nawet pogonią za nowemi wrażeniami i rozkoszami tak już był wyczerpany, znużony, iż mu nic nie smakowało, nic go nie zajmowało goręcej. Jedne może dzieci, syn Oleś, córka Anusia, — gdy z niemi był, lub o nich mówił, rozbudzali go, dbał o nie... reszta go nie obchodziła!

Nieprzyjacielski (kanclerz) o tyle go drażnił, że widział w nim chętkę wyzywania, a on słabszym być, ani się przyznać do tego nie chciał. Zresztą Zamojski mu był obojętny... ale przeszkadzała marszałkowi, nie lubił podczaszego, musiał więc być jego nieprzyjacielem.

Na to „polowanie na kanclerza“ jechał z uczuciem w istocie takim, jakby z sokołami i Borowskim na ptactwo lub z Bokszickim na grubego zwierza. Najstraszniejszy nawet gniew w jednej potędze nie mógł u niego trwać długo.

Po drodze zaś *larum* ogromne czyniono jawnie, głośno wołając i wywołując, że Zborowski się wynosi do Włoch, a *ingratam patriam* rzuca na zawsze. Publicznie o tem mówił on sam, jego słudzy, rodzina i czyniono umyślnie demonstracje z przygotowaniami, aby ludzie w to uwierzyli.

Podróż też ta cała dla rozgłosu szła bardzo powol-

nie. Ze Złoczowa ze swym taborem zajechał Samuel do Glinian i tu stanął na noc, a dopiero 26 kwietnia odjechał do Lwowa. Tu czekały na niego wielkie interesa majątkowe, którym starano się nadać wielkie znaczenie i rozbębnić je... zawsze dla tego wyjazdu za granicę... *Ingrata patria* i t. d.

Cały kahał musiał długo stać w przedpokojach na zamku, nim się ułożono o powołowszczyznę w browarach, a potem o spław zboża do Gdańska, naostatek o dozór nad psy i myślistwem pańskim, które zostawał po sobie. Przyczem wyprawiano na miasto głośno... wracali posłańce... na ulicach, kto chciał i nie chciał, wiedzieć musiał, iż Zborowski opuszcza krajobraz, że zmuszony jest do tego prześladowaniem i niewdzięcznością, że za jednym Zborowskim pójdą drudzy — a co potem pocznie Ruś bez Zborowskich?

Tu syn Oleś przyłączył się do ojca, co znaczyło wiele, bo zaraz wszystek dwór spowaźniał, surowość była większa; sam pan Samuel ubierał się, chodził, mówił przy nim inaczej i dbał daleko więcej, aby był ład około niego.

Dwór podróżny dosyć się złożył okazałe; trzydzieści koni, dworzan szlacheckich, co przednieszych, dalej komorników, pacholat, pacholików, czeladzi różnej też tyle, kotczych wozów ze skrzyniami, namiotami szło dziesięć i t. p. Dwa wierzchowce wiedziono na powodzie. Oręża i strzelby dosyć było, ale mniej, niż zwyczajnie, gdyż jako niby do Włoch jechać miał, więc tyle tylko zabierał, ile między ludzi rozdać mógł, nie obciążając ich zbytnio. Kosztowności, prócz trochę futer, nie wiózł z sobą żadnych.

Co chwila słyszeć go było można, powtarzającego tak, aby ludzie obcy się dowiedzieli:

— Do Włoch wyjeżdżam, syna w Niemczech dla nauki zostawię. Wracać do Polski nie mam zamiaru, chyba dlatego, abym królowi jegomości niewinność moją i domu naszego pokazał, jeżeli tego zajdzie potrzeba, a gdy król ją uzna, ufam, że nieprzyjaciele domu naszego będą poskromieni, a król pańskiemu swo-

jemu słowu zadość uczyni i ze mnie ten dekret zdejmie, *auctoritate et benignitate sua regia*, uspokajając. Ale, jeżeli około uszu królewskich zagłuszą pochlebników i złych ludzi hałasy i nie uzna niewinności, tedy ja już w Polsce czynić co nie mam. Jadę do pana imion tych, marszałka Andrzeja, brata i opiekuna mojego, temu dzieci i wszystko zleciwszy, co on postanowi, — uczynię.

Uważyć należy, iż marszałka wymieniając, jako starszego i opiekuna, o Janie kasztelanie wcale nie wspominał.

Gdy trzeciego dnia wyjechał ze Lwowa i w Jaworowie nocował, pożegnawszy chorego Kamienieckiego, któremu życia już nie obiecywano, nadbiegły tu z listem od niego sługa. Kamieniecki dogorywający chciał się z nim widzieć jeszcze, aby mu odradzać jego imprezę.

Namyśliwszy się, Samuel wrócił do Lwowa, ale z maleńkim pocztem, a cały tabor swój wyprawił z Jaworowa do Dubiecka i tam mu na siebie czekać kazał.

Powiadano, że Kamieniecki, który już napoły tylko był na tym świecie, a miał widzenia przyszłości, zaklinał go i prosił, ażeby zawrócił do domu i spokojnie siedział, nie chce li nałożyć głową.

Tyle tylko, że się z tej przepowiedni naśmiały Samuel, chociaż umierającego pocieszać się tem starał, że w istocie do Włoch pociągnie. Kamieniecki w myśli jego czytał... zaklinał go znowu, wymów słowo chciał, losem dzieci go pragnął zmiękczyć — i nic nie potrafił uczynić!

Pożegnawszy umierającego przyjaciela, tegoż dnia ruszył Samuel ze Lwowa i nocował dwie mile od Jaworowa, gdzie go zaskoczyła ciemność. Następnego dnia przyjechał do Jaworowa, gdzie trafił do pana Kostki na wesele, czy też przenosiny, na których obywatelstwa i szlachty zebrało się bardzo wiele.

Nie zważając na to, iż go tam widzieć będą, a potem powtarzać o tej podróży i o nim, jakby naumyślnie, zawsze dla nadania jej rozgłosu, pojedzie nieproszony. Wdzięcznie czy nie, ale go przyjęto, bo właśnie

za stół siadać miano i dostało mu się miejsce obok podkomorzego Stanisławskiego.

Sąsiad spoglądał na niego z podziwieniem, jakby się zdumiewał, że tak go swobodnie obracającym się widzi, co już pana Samuela butę podrażniło.

Poczęli z sobą mówić, ale ciągle jakby z panewek im spalało.

— Cóż tam, miłościwy panie Zborowski, — odezwał się Stanisławski — myślisz może i do Przemyśla zajechać? Czy waszmość nie czujesz i nie wiesz, co się dokóła niego dzieje?

Wziął to do siebie pan Samuel, jako przestroge, ażeby się nie narażał, iż na niego czyhano i pochwycić go miano prawo, obrazil się i odpalił:

— Jeżeli mnie wasza miłość nastraszyć myślisz, tedy wiedz, proszę, żeś na nieustraszonego trafił. Czego się mam bać? Nikomu nic nie winien, z nikim też nie mam nic do czynienia! Jeśli myślicie o dekrecie króla Henryka... gdybym nie miał na to zezwolenia królewskiego, nie siedziałbym tu, bo z tego siedzenia pożytku nie mam żadnego, ino żal, patrząc na to, co spotyka mnie i dom mój za wierne i wielkie posługi, którem ja i familja moja czyniła...

Gorąco to wypowiedziawszy, umilkł, a Stanisławski też dyskursu o tem nie wznaował. Zważył jednak Samuel wśród tego wielkiego tłoku, że ten i ów koso, a wielkimi oczyma spoglądał na niego, jakby się dziwowały, iż go żywym i swobodnym widzi.

Pan Kostka też pytał go potem sam, w jakiej liczbie sług tu przybył; odpowiedział, śmiejąc się, że samotrzeć. Wszyscy więc, nie wyjmując gospodarza, poczęli mu czynić wyrzuty, że się nieopatrznie narażał.

— Albo li wasza miłość nie wiesz o tem, lub nie dbasz o to, że za nim wszędzie szpiegi chodzą i wypatrują, a to nie jest daremnenem. Wieści słyszamy groźne, nie narażaj się!

Na to Zborowski otwarcie też odpowiedział, że się nie lęka, bo się do niczego nie poczuwa.

Było tak, że z kim mówił, każdy go tem witał i żegnał. Zrobiło mu się nieco kwaśno, ale w duchu rzekł:

— Wszystko ja to spłacę razem...

Naostatek pan Kostka, który mu był życzliwym, a i za gościa go u siebie szacował, spytał:

— Dokądże stąd myślicie?

— Tabor mój i ludzi posłałem do Dubiecka; tam więc muszę.

— Samotrzeć? — rzekł Kostka.

— A no! — rozśmiał się Zborowski.

— Ja tego nie dopuszczę — odparł gospodarz. — Dam moich ludzi, aby przeprowadzili... Nie może inaczej być.

Następnego dnia, gdy tu wesoło przenocował, w istocie dano mu dosyć silny przewód na miejsce do Dubiecka.

Wszystko to winno było już przestrzec Samuela, że gdy on na kanclerza miał chrap i oko, na niego też kanclerz nie mniejsze. Co krok mu niemal szpiegów Zamojskiego, za nim chodzących, pokazywano, ale wierzyć w nich nie chciał.

W Dubiecku siostrzeniec, pan Jędrzej Stadnicki, z którym zawsze byli serdecznie, przyjmował go, a i ten mruczał, że na bacznosci się mieć było potrzeba, ale miał tę ufność w wuju, że on naprzód obmyślił, co czynił.

Ponieważ nie wydawano się z tem, iż zjazd był niedawno w Złoczowie i bracia o sobie wiedzieli. Zborowski, rozpytując się, dopiero tu się wrzekomo dowiedział, że marszałek Andrzej był w Sandomierzu, gdzie go doktor jakiś kapitalny wiosennem lekarstwem karmił i miał krew puszczać.

Zwykle też w początku roku oczyszczano się z zaledwości, zepsutą jakoby krew, odlewano, ażeby przez cały rok potem bezpiecznie pić i zajadać.

Marszałek pojechał dokończyć ten właśnie rodzaj kuracji w Sandomierzu, pod dozorem lekarza.

Samuel, tu się dowiedziawszy lepiej o Zamojskim, a widząc, że kroki jego zanadto są znaczne i głośne,

zały fortelu. Sam postanowił udać się do Sandomierza do marszałka, a sługę swego, Luzickiego, jawnie i ostentacyjnie stąd wyprawił ku Krakowu, sobie ludzi zostawując niewielu.

Cel pono był ten, aby rozdzielone oddziały, jeden z przodu, drugi z tyłu — mogły razem osiągnąć kanclerza.

— Jedź przeto na Tarnów do Krakowa, — głośno w dziedzińcu rzekł do Luzickiego — gotuj dla mnie gospody, aby nam tam z Olesiem dobrze było. Gdy się pożegnamy ze wszystkimi, gotuj, co należy dla syna i dla mnie, ażebyśmy nie mieszkając wyruszyli na tę włoską peregrynację... Tymczasem ja muszę do Sandomierza do pana marszałka, bo jużbym go chyba nie widział.

Ale jak go zaczęli w Dubiecku Stadniccy i inni przyjmować, a dobra myśl się zawzięła, trudno było stąd ruszyć. Z Dubiecka zaprosił Marcin Stadnicki do Kostowej do siebie, tam spędzili dzień, stąd Strzyżowski wziął do Czudca, dalej musiał do Zgłobienia, pociągnęli go jeszcze do Mielca, aż naostatek siostrzeniec, Marcin Tarnowski, do Podleszan, do siebie zaciągnął.

Wszędzie nagłos nie mówiono o niczem innem, tylko o włoskiej podróży, o Włoszech, a Samuel coraz to jakieś słowo włoskie w rozmowie rzucał, śmiejąc się, jakby zawsze do konwersacji z Włochami się zaprawiał.

Dopiero teraz wyrwać się mógł do Sandomierza.

Co z marszałkiem, zamknąwszy się sam na sam, mówili, tego się domyślać można z umowy, zawartej w Złoczowie, ale przy Olesiu i publicznie wyglądało wszystko inaczej.

Marszałek młodszego brata, który mu się submitował z wolą swoją, zaklinał, aby albo do Krakowa wcale nie jechał, lub w nim nie bawił, gdyż *vox publica* ufać nie każe kanclerzowi. Mogą umyślnie jaką zasadę tumult uczynić i znowu w niej pana Samuela albo

pochwycić, albo wмесzać, czy nareszcie posadzić i uwieźcić.

Wiedzieli tu wszyscy o tem, że Zamojski będzie właśnie sądził swoje roki grodzkie, krakowskie i w Stężyce miał też być. Drudzy powiadali, że dla choroby żony miał powrócić do Knyszyna.

— Ja tam nie wiem, gdzie on jest, — mówił marszałek głośno — niechaj będzie, gdzie chce. O niego mi nie idzie, ale o waszmości...

Pan Samuel dotąd znajdował jeszcze wszystko w takim porządku, w jakim mieć sobie życzył; rachunki jego pozostawały niezmienione... Jedno się im tylko nie podobało wszystkim. Znany, jako czynny sługa Zamojskiego, niegdyś podstarości krakowski, Urowiecki, z mocnym oddziałem hajduków zjawił się nagle w Sandomierzu. W mieście szumu dosyć uczyniwszy, prznocował tylko i pociągnął, jak mówiono, do kanclerza.

To zjawienie się Urowieckiego, nieco podejrzane, nie w smak było Samuelowi, bo, wedle jego informacji, Urowiecki miał być gdzie indziej.

To jego przyskoczenie do Sandomierza, właśnie, gdy tu gościł Samuel, dawało trochę do myślenia, ale ktoś usłużny wy tłumaczył Zborowskiemu, że Urowiecki kręcił się dla własnej sprawy i dla niej śpieszył do Krakowa, mając zajście z Pałczowskim burgrabią.

Otwarcie tedy przy gościach, gdy się rozmowa toczyła o kanclerzu i o podróży, a marszałek nalegał niby na brata, aby do Krakowa nie jechał, odparł Samuel:

— Ja w Krakowie bawić się nie myślę, ale być tam muszę, bo stamtąd się dopiero we włoską drogę wybiorę. Z panem kanclerzem my mamy wszakci pokój i ubezpieczenie.

Powtórzył to po kilka kroć i bardzo głośno, że na ten pokój rachował i trzymać go chciał.

Jakby naumyślnie dla tem lepszego okrycia dalszych zamysłów, trafiło się, że tegoż dnia przyszły listy od kasztelana gnieźnieńskiego, który o niczem nie wie-

dział, tylko o tem, co mu na dworze powiadano, aby się pozbyć jego nalegań.

Zapewniał w liście swoim Jan o przyrzeczeniu królewskiem, iż mogli być spokojni do sejmu konwokacyjnego i mieli czekać na ten sejm, gdzie król chciał rozsądzić sprawę tych plotek i listów przyniesionych przez Wojtaszka.

Osobnym listem prosił kasztelan Samuela, aby zaniechał podróży do Włoch, o której mu Domaszewski, sługa jego, wyprawiony do Gdańska, powiadał. Marszałkowi zalecał, aby od podróży tej odwodził i niepotrzebne obawy hamował.

Marszałek w tem jednak, nawet pozornie za radą Jana nie poszedł i od podróży włoskiej nie odwodził. Uradzili tylko, gdy na św. Jakób Samuela już tu nie było, aby mu znać dano, co się stanie z ich sprawą na konwokacji.

Wszystkie te rozmowy, sprzeczki, które po świecie iść miały, dla ludzi tylko się układały, gdyż Samuel całe czem innem był zajęty. Lecz musiał tymczasem szpiegów kanclerskich w błąd wprowadzić i o to mu chodziło.

Przy stole więc i przy dworze szeroko o tem rozmawiano, aby lepiej Kraków ominąć, z panem żupnikiem w Wieliczce się rozmówić, do Spytkowic jechać niedaleko miasta, gdzieby się wszystko dało do podróży przysposobić, a bodaj w Krakowie koniom dać wytchnąć i zaraz jechać dalej, nie budząc licha...

Pan Samuel się niby upierał przy tem, aby koniecznie być w Krakowie, a tymczasem czekał tu wiadomości o kanclerzu, którego podróż postanowiona, niezupełnie tak się składała, jak przewidywano.

W Sandomierzu niewiele sprawiwszy, bo pewnego języka dostać nie mógł, a Boksicki coraz to inne bałamutne przynosił powieści, wyjechał tymczasowo Samuel z Sandomierza do Połańca.

Wietrzoną wszędzie ślady Zamojskiego, ale dzięki niewierнемu Boksickiemu, nic nie można było postanowić, bo wiadomości przychodziły sprzeczne.

W istocie zaś kanclerz naówczas był w Opatowie, ale Samuel nie miał pewności, stąd zaś jechał do Szydłowa i do Wiślicy. Chociaż Boksicki motał i płakał, dowiedział się o tem Samuel i ażeby się zbliżyć, zwrócił do Stobnicy.

Ale tu ugrzązł, bo zdrajca Boksicki fałszywemi uwodził wiadomościami. Zawahał się Samuel.

Słudzy i dwór marszałka, który mu tu towarzyszył, musiał go opuścić, gdyż marszałek ukończył leki i na trybunał śpieszył w sprawie swej z urzędem Nowego Miasta Korczyna.

Nadbiegł tu sługa marszałka z listem, w którym donosił, że czasu pobytu w Sandomierzu na pewno tam wytropiono szpiega kanclerza, który bodaj z jednym ze slug bliskich pana Samuela miał konszachty.

Był to ów brat Boksickiego, o którym mówiliśmy.

Boksicki dotąd najmniejszego na siebie nie miał podejrzenia, więc ani pomyślał Samuel, ażeby go się to tyczyć mogło; powiedział mu nawet o tem i zdziwił się, widząc, jak trupią bladością okryła się twarz winowajcy, który belkotał, straciwszy przytomność.

Wcale to Zborowskiego nie naprowadziło na myśl, żeby Boksicki mógł zdradzić. Szukał tego niegodziwca gdzie indziej.

Wylękły Boksicki już tylko myślał, jak siebie ratować.

Samuel straszliwie był rozjuszony tem, że mu wszystkie plany krzyżowano i napaść na hetmana, którą jak najprędzej chciał wykonać, zmuszony był odłożyć, a co gorzej, puścić go pod Kraków, gdzie on na pilniejszy dozór i pomoc rychlejszą mógł rachować.

Widoczniem już było, że śledzono Samuela, że o nim i jego siłach wiedziano doskonale i że, mimo rozgłoszonej do Włoch podróży, domyślano się istotnych powodów tego ciągnienia ku Krakowu wslad za kanclerzem, zawsze w niewielkiem od niego oddaleniu.

Boksicki tak ze strachu stracił przytomność, że nie

wiedział i nie umiał ani radzić, ani się tłumaczyć, ani na przyszłość coś obmyśleć.

Wypadało znowu dostać pewniejszego języka o obrotach dalszych kanclerza, ale na to w Stobnicy siedząc, czekać nie zdało się.

Marszałek listem wskazywał swój Zborów i prosił, aby Samuel, zajechawszy tam, kilka dni sobie wypoczętał, nim o dalszej podróży coś postanowi.

Na zdrajcy skóra cierpła tymczasem; pod pozorem, iż potrzebuje dostać języka, wyprosił się, zamiast do Zborowa, niby do Opatowa, a w istocie potajemnie myślał dobiec albo do Szydłowa, lub do Wiślicy i tam się z bratem Parżnickim naradzić.

Dłużej mącić fałszywemi doniesieniami stawało się coraz trudniej, bo Samuela z innych źródeł o kancelarzu dochodziły wiadomości. Boksickiemu stawało się tu coraz ciaśniej i duszniej.

Dzięki łatwowierności, albo raczej ufności, jaką Samuel miał nawet dla tych, którzy na nie nie zasługiwali, Boksicki dotąd wyszedł cało, lecz zemsta mogła być straszną i spaść jak piorun.

Pomimo tych przeciwności i zawad, Samuel przybył do Zborowa z dobrą myślą, wesół i pewien jeszcze swego. Zdawało mu się, że pośpieszy zawsze w porę, aby choć pod samym Krakowem, bodaj w Proszowicach, ułapić Zamojskiego.

Na te Proszowice teraz najwięcej rachował, ale Boksickiemu postanowił zawczasu nie mówić o tem, nie żeby nie ufał mu, ale że języka długiego się lękał. Nie zdradzie, ale paplaninie przypisywał to, że mu się dotąd tak nie wiodło, że go odgadywano zawczasu i stawiono mu zawady.

Zaledwie stanął w Zborowie, gdy list za listem już gnał, donosząc, że po całej drodze, gdziekolwiek się pan Samuel zatrzymał, popasał, gdzie przejechał, to szpiegów i ludzi kanclerza, jakby porozstawianych widziano. Marszałek ostrzegał pilno.

Gra zaczynała być nierówną i pan Samuel dopiero

teraz zrozumiał, że nadto lekko brał bardzo trudne zadanie. Wszędzie go wyprzedzano.

W Zborowie sam jeden pozostawszy z synem, z którym mówić nie mógł o tem, co go zajmowało, niecierpliwił się do najwyższego stopnia, wyglądając powrotnie Boksickiego.

Zdrajca zaś, do brata się dostawšy, opowiedział mu, jak rzeczy stoją i że lada godzina może się wydać wszystko. Parżnicki go natychmiast do Mroczka zaprowadził i tym razem wmówili w niego, ażeby nie wracał do pana.

— To się domyśli, żem winien! — zawałał Boksicki. — A tam jeszcze u niego mam cokolwiek mienia.

— Siedź spokojnie — rzekł Mroczek — pod ten czas, gdy jednego człeka zabraknie, dziwu nie będzie. Pomyśli, że padłeś ofiarą dla niego. My cię już nie puścim, gotówbyś się wygadać i popsuć nam, a pomieszać szynki.

Tak więc Boksickiego nawpół siłą przytrzymali, nie dając mu już powracać, a Samuel, dni kilka późno na niego czekając, wpadł na tę myśl, że mu go pewnie zabito, aby prawej ręki pozbawić.

Zmęczony i już znudzony tem przeciagnięciem sprawy, którą chciał jak najprędzej doprowadzić do końca, pan Samuel się rozbudził i odżywił tą nową przeciwnością.

— Nie jeden Boksicki w świecie, — rzekł w duchu — wezmę na jego miejsce Borowskiego.

Borowskiego tego, wielce sprawnego, zwłaszcza do myślistwa z sokołami, które Samuel lubił bardzo, kochał, można powiedzieć; Zborowski pieścił go, wychwalał, ale ten, jak był doskonały do noszenia ptaków i do układania psów, tak się więcej do niczego nie zdał, a Zborowskemu zdało się, że kto do tego ma talenta, musi mieć do wszystkiego.

Borowski był miękki a potakujący. Samuel go inaczej nie zwał, jak:

— Borosio mój!

A sługa nazywał pana:

— Król mój i pan mój!

Rozumie się że i w tej sprawie Zborowski nie miał dla niego tajemnic. Gdy Boksickiego nie stało, otwarty mu się nagle.

— Ty mi go zastąpisz... Borosiu; rzuć do kaduka sokoły, a pilnuj ludzi i radźmy. Trzeba śpieszyć, aby drogę zapobiec kanclerzowi, inaczej się nam wymknie, a raz w Krakowie, — nie dostąpimy już do niego.

— Żeby my jego nie dogonili! — zawała Borowski, z wielką gorącością i gotowością biorąc się do dzieła. — Rozkazujcie... Ludzie zaraz na koń, noc czy dzień, wszystko jedno... Padnie szkapa na drodze... bierz ją licho. My go wyprzedzimy i gdzie rozkażecie, tam za-skoczym.

— Ale nagwałt — języka! języka! — wołał Zborowski. — Zostaliśmy bez wieści... na plotkach! Nie wiemy na pewno, czy w Szydłowie jest, czy w Wiślicy, gdzie noclegi... czy wprost stamtąd pojechał do Proszowic? Ślij po języka!

— Kogo?

Nastąpiła narada. Ochotników nie brakło. Borowski rozpoczął swą czynność z nadzwyczajną gorliwością, ale z lekkomyślnością jej równą. Samuel szczęśliwym był, że zdał troskę na niego, a z siebie ją zrzucił.

Temperamentem, nie rozumowaniem fatalista, spuszczał się zawsze na jakiś pomyślny skład okoliczności, który go uwalniał od wczesnych zabiegów i starań, i choć w życiu nieszczególnie mu się wiodło, trzymał się mimowoli swego obyczaju. Z pomocą więc Borosia wszystko pójść musiało pomyślnie. Jak?

— Da się to widzieć, — mówił sobie Samuel — poco sobie zawczasu głowę nad tem łamać!

Szło zatem dalej tym samym porządkiem, co wprzody. Zborowski jadł, pił i spoczywał w Zborowie, oczekując pewnych wiadomości o kanclerzu: rozmawiał ze swoim Olesiem, którego rozumem i statkiem bardzo się cieszył i był dumny. Strzelał do celu, chodził do swoich sokołów, wzywał Borosia na porady, które się koń-

czyły śmiechami i był pewien, że kanclerz mu sam w ręce wpadnie.

Wyprawieni za językiem przez Borowskiego najsprawniejsi ze szlachty dworskiej przynieśli wiadomość, że Zamojski się znajdował w Wiślicy i że stamtąd bez pośpiechu podążał prawdopodobnie do Proszowic. A zatem Zborowski miał ciągnąć za nim i tu gdzieś jakoś drogę mu zaskoczyć tak, aby przodem wysłany z głównym oddziałem Luzicki z jednej strony, a pan Samuel sam z drugiej — na dwór lub gospodę, w której go miano napaść, rzucili się jednocześnie.

Zdawało się to tak prostem i łatwem, jak przełknięcie haustu dobrego wina.

Co do orszaku i siły, jaką miał przy sobie kanclerz, pozostały wątpliwości, ale te Samuel na korzyść własną zgóry rozstrzygał.

Posłańcy donosili, że mniej więcej mogło być z Zamojskim około stu koni, niektórzy nawet utrzymywali więcej, natomiast jeden pochlebca mówił, że się i sześćdziesiąt nie doliczył. Samuel mu to pochwalał i z nim trzymał, dowodząc, że hetman nigdy zbyt wielkiej kupą z sobą nie prowadził.

Dawało tylko do myślenia, iż na czele tych ludzi byli tacy drapieżnicy znani, jak Urowiecki, Mroczek i Serny, a oprócz tego młody pokrewny kanclerza, Stanisław Żółkiewski, nie licząc pomniejszych rotmistrzów i różnych stopni wojskowych, którzy z nim się znajdowali.

Zborowski się tem ludził, że ich wszystkich miał wziąć niespodzianie i że jego pochodź nieporządry, błędny nie dozwalał się domyślać, dokąd zmierzał, a szpiegi, co go otaczały i donosiły o nim, odgadnąć nie mogły, co zamierzał.

Słowem, szczęśliwy zawsze i rad z siebie Samuel nie widział dotąd nic chybionem i końca się spodziewał pomyślnego.

Co chwila niemal przynoszono mu języka, który potwierdał to, że kanclerz zwolna, bezpiecznie posuwał się ku Proszowicom. Rozmyślano tylko, czy tu

można go było zaskoczyć, czy między Proszowicami a Krakowem.

Borosio godził się na wszystko, co Samuel obmyślił, a ten nie stanowił nic jeszcze pewnego, wyczekując, jak się dalej składać będzie.

Nieopatrzność Zborowskiego równała się jego męstwu; do porady nie miał nikogo, można więc już było przewidzieć, że dopuściwszy Zamojskiego do Proszowic, da mu dojechać i do Krakowa.

Jeszcze się wybierano dopiero w dalszy pochód ku Stogniewicom, skąd Zborowski we czterdzięci koni projektował ostatecznie rzucić się na Proszowice, gdy nadbiegł najpewniejszy język, człowiek, na którego i Borosio, i pan liczyli najwięcej.

Był to stary, posiwiały na posługach rodziny szlachcie, Drużyna, mileczący zwykle i smutny zawsze, rozważny, ale z natury pesymista, który skłonny był widzieć wszystko raczej czarno, niż jasno. Na niego więc można się było spuścić.

Drużyna, który orszak kanclerza na swe oczy widać i liczył po drodze z Wiślicy do Proszowic, zaręczał, że było więcej, niż sto koni i że za tym oddziałem miał postępować drugi mniejszy w tylnej straży. Jednym z nich dowodził Stanisław Żółkiewski, drugim Urowiecki, a oprócz nich było kilku najdzielniejszych rotmistrzów i uzbrojenie, jakby na wyprawę przeciwko Moskwie.

Drużyna nie radził Samuelowi, chociażby nawet udało się niespodzianie zaskoczyć, rzucić się na siłę większą, czujną i mającą kilku dzielnych dowódców. Miejscowości też, według niego, nie nadawały się do napęsei, a sprzyjały obronie, tak, że nawet z orszakiem mniejszym oprzeć się było można, a zdobyć gospodę, czy dwór, trudno.

Stary sługa, wzduchając, powiadał, że daleko dogodniej było wprzody na drodze najść na Zamojskiego, gdy przy nim Urowieckiego jeszcze nie było.

Zamyslił się Zborowski; przykro mu było, że wszyst-

ko spelzło na niczem jego winą, choć się do winy nie przyznawał nawet przed samym sobą.

— Co to zawsze przesądzać, — odparł markotnie Drużynie — idźmy my szybkim krokiem wprost do Piekar, aby wyprzedzić kanclerza, a tam znajdziemy środki i dostaniemy języka... Stadnicki ma tam czekać... Z Piekar pewnie będąc mogli nocą rzucić się. Ja mam najlepszą nadzieję! — Co ty mi mówisz o stu ludziach! Naprzód ja w nich nie wierzę, tobie się staremu w oczach dwoi... powtóre, co mnie i moim znaczy stu ludzi! My na Niżu, przypomnijno sobie, we dwudziestu czy trzydziestu szliśmy na Turków tysiące i wyszli ręką obronną, a pagan natłukli. Moich ichmość panów trzydzieści — nie oddałbym za jego półtorasta.

Uśmiechnął się i wąsa pokręcił, poklepał po ramieniu Drużynę.

— Jakoś to będzie! — rzekł. — Tylko teraz żywo, konie siodłać i w drogę najprostszemi ścieżynami, co przedzej do Piekar! do Piekar!...

Odprawiony stary sługa pogładził swego wąsa, odchodząc.

— A co? — zapytał go w sieni Borowski, który przy naradzie nie był przytomny — a co?

— Nic, — rzekł Drużyna — idziemy spieszno do Piekar... do pani Włodkowej (usta mu się skrzywiły smutnym uśmiezkiem), a tam pan nasz postanowi, co dalej.

Spojrzał sobie w oczy.

— Jak się ci zda? — spytał Borosio, który w duchu był przeciwnym całej tej imprezie. — Jak ci się zda? co będzie?

Drużyna milczał.

— A co ma być — szepnął po długiem milczeniu. — W Piekarach pani Włodkowa, piwnica dobra, kuchnia też... dziewczęta wesołe... naszemu panu, jak u Boga za piecem, to i nacóż więcej?... A kanclerz niechaj sobie z Bogiem na roczki do Krakowa pośpiesza!

Śmiejąc się, ruszyli ramionami.

— Tylko to bieda — dodał, smutniejąc, Drużyna — jeśli my jego nie weźmiemy, on nas może pochwycić, a naszemu panu... pod banicją...

Potrąsnął głową i nie dokończył.

Głos Borowskiego już się rozlegał:

— Żywo na koń! do Piekar! żywo, żywo!

II.

Gdy Zborowski błakał się tak, odkazując i spuszczając na jakieś szczęście, którego nigdy nie miał, kancelerz tymczasem jechał zupełnie bezpieczny o siebie, nie zbaczając wcale z raz postanowionej drogi. Miał przy sobie orszak z panem Stanisławem Żółkiewskim bardzo dostateczny i takich ludzi, jak energiczny Urowiecki, śmiały i wytrawny Mroczek, doświadczony Serny.

Wszystko, co bracia pomiędzy sobą postanowili w Złoczowie, co marszałek potem z Samuelem radził w Sandomierzu, dzięki gadatliwości Samuela i jego ludzi, a zradzie Boksickiego, było wiadomem kancelarzowi. Śledzono każdy krok Zborowskiego, bynajmniej się go nie lękając, ale Zamojski był do najwyższego stopnia zniecierpliwiony i oburzony.

Na drodze przyłączył się do niego Drohojowski, starosta przemyski, należący do przyjaciół kancelarza. Znalazł go wprawdzie o siebie spokojnym, ale zuchwałstwem banity, do najwyższego stopnia poruszonym.

O spisku na życie swe, o zamiarze napaści na drodze, środkach, jakie ku temu obmyślano, Zamojski jak najdokładniej był poświadczony. Oburzało go i to, że rodzeni bracia, sami stojąc zdaleka, popychali lekkomyślnego Samuela na zgubę, na ważenie gardła, zaabezpieczywszy się, aby o wspólnictwo z nim posądzeni nie byli.

O wszystkiem tem wysłał był Zamojski listy do króla, pytając Stefana, jak miał postąpić: czy puścić

płazem ten zamach, który musiał spełnić na niczem, czy banitę pochwycić, ku czemu pod Krakowem, w jurysdykcji kanclerza nadawała się zręczność. Ale raz pochwyciwszy skazanego na banicję, potrzeba było, wedle rygoru prawa, karać go śmiercią.

Rozdrażnienie w kraju przeciwko królowi i Zamojskiemu, z powodu surowości ich w sprawie Ościka i w innych wielu pomniejszych wypadkach, było wielkie. Pomnażali i je wyzyskiwali stronnicy pozostali cesarza, mnożąc malkontentów. Rakuskie talary płynęły potrosze od Śląska, w którym było gniazdo intryg, przeciwko Batoremu wymierzonych. Nie zdawało się więc Zamojskiemu politycznem sprawą Zborowskiego rozdmuchiwać ognia i przyczyniać sobie trudności.

W tym sensie kanclerz pisał do króla i dopraszał się jego rozkazów, których co chwila oczekiwali. Sam on był za tem, aby dać tylko poznać Zborowskim, iż ich nawskroś znano i wszystkie zamiary nie były tajemnicą, a sprawę zdrady ich wnieść na sejm konwokacyjny, dozwalając ujście Samuelowi, który w istocie mógł jechać do Włoch i nie śmiałby już powrócić.

Bracia zaś jego bez tej szalonej ręki głowami przebiegłemi nic nie mogli uczynić. Marszałek-by się nie ważył, a Krzychnik musiałby z obawy o gardło uchodzić także pod opiekę cesarza Rudolfa.

Wszystko się więc mogło skończyć, wrażając grozę, a nie wymagając srogości, której oprócz tego potrzebowano zażywać ciągle, a kraj do niej nie był nawykły.

Za Zygmunta Augusta nie znano jej wcale, mniej jeszcze obawiano się za Henryka, teraz więc nagła surowość i nieubłagane wykonanie prawa musiało do najwyższego stopnia przeciwko królowi i hetmanowi zniechęcać.

Wiele przypisywano Węgrowi i Wilczym zębom jego, ale też Zamojski, prawa ręka, ulubieniec, kierownik, obwinionym był, że podsycał tę surowość, nakłaniał do niej i był duszą wszystkiego. Szło więc Zamojskiemu o to, aby sprawa Zborowskich na niego nie spadła.

Na wyjeździe z Wiślicy kanclerz otrzymał odpowiedź króla. Batory był jak najdokładniej zawiadomiony o knowaniach Zborowskich, o tajnych znoszeniach się Czarnkowskiego z cesarzem, o wszystkiem, co się przeciwko niemu w Polsce poruszało. Miarę tego stanu umysłów nieprzyjacielskiego obozu dawały wszelkie sejmy i zjazdy, na których przeciwko królowi z zuchwałstwem dla Batorego niesłychanem i nieznośnym wykrzykiwano, nie szczędząc mu najprzykrzejszych i najboleśniejszych wyrzutów.

Był więc król w ciągłem rozdrażnieniu i gniewie na to stronnictwo, które ogień podkładało i utrzymywało, a dawne znaczenie rodziny Zborowskich stawiło ją w oczach jego na czele malkontentów.

Śmiała wyprawa na Niż do Kozaków, którą uważał jako wymierzoną przeciwko sobie, nie była zapomnianą Samuelowi; listy przez Wojtaszka przyniesione, czyniły go jakby ogniskiem i głową spisku. Wiadomość więc z listu kanclerza o zamierzonym napadzie na niego do najwyższego stopnia króla rozgneiewała i rozjaśniła przeciwko wszystkim Zborowskim.

Łagodniejszy sposób pozbycia się ich, wniesiony przez Zamojskiego, nietylko że nie zdał się królowi właściwym, ale szkodliwym i mogącym ściągnąć na niego podejrzenie o słabość i obawę. Cienia dwojga tego nie mógł na sobie znieść Batory. Wolał stokroć uchodzić za okrutnika, niż za tchórza.

Odpowiedź więc na list hetmana brzmiała nieubłaganą surowością. Król życzył sobie i rozkazywał, aby pochwycić banitę i nie przepuścić mu. Powinien był dać głowę i na tem musiało się raz skończyć wszystko.

Batory, nie znając dobrze charakteru narodu, nad którym panował, surowość tę uważały za jedyny skuteczny środek, który miał się przyczynić do zaprowadzenia ładu i porządku.

„Niechaj bronią swobód swych, których ja ukróćać, ani gwałcić nie myślę, ale ja muszę mieć władzę, jaka mi należy... Jeśli się lękać nie będą, siebie

zgubią i mnie razem, a ja winien będę, żem pobłażał. Nie mogę mieć litości nad warchołami i zdrajcami jawnymi. O spisku Zborowskich własnoręczne ich listy poświadczają, wina ich dotykalna dowodzenia nie potrzebuje. Sam kasztelan gnieźnieński uznał, że pismo było własnoręczne brata. Potrzebaż więcej nad to, co stało czarno na białem: „Ów pies siła nam Zborowskim winien, ale trafim wróbla w łeb; trafię kanclerza między oczy, jedno wołę owego psa węgierskiego, króla, acz ci myślę z lasu zasadziwszy się, ale nie może być tak las gęsty, aby nieprzyjaciel nie zobaczył, a zaś po lesie trudno uciekać; najlepiej się w drodze w karczmie zasadzić... Jedno zaś uciekać nie wiem gdzie... do Turek źle, do Moskwy niedobrze, do Węgier djabła się gdzie, najlepiej do Morawy“ i t. d.

„Czytaj wasza mość wszystkie ich listy — pisał król dalej — winni są, ani się oczyścić mogą. Pan Bóg nam jednego z nich w ręce daje; powinnością waszą postąpić z nim wedle prawa, nie folgując. Powtarzam, com raz rzekł, „*mortuus canis non morderet*“. Nie pytajcie więc mnie, gdyż innej odpowiedzi dać nie mogę, nad odwołanie się do prawa. Padnie li głowa winowajcy, ocali może wielu, bo baczyć będą, że nie przebaczymy nikomu.

Wiem o tem, że Zborowscy są możni i znaczą, a raczej znaczyli coś w kraju, że wrzawa będzie wielka, że przeciwko mnie i wam chwilowo burza się podnieście, lecz znasz wasza mość polskie piwo... niedługo to potrwa!“

Pismo króla całe było w tym sensie, ażeby Samuelowi jego zuchwałego wtargnięcia w jurysdykcję starosty krakowskiego nie przebaczyć, tem bardziej, iż go Zamojski ostrzegał wielekroć, by jej unikał, a nie zmuszał do surowości.

Przypominał teraz sam kanclerz, iż gdy po wyprawie na Wielkie Łuki król go mianował krakowskim starostą, on, wiedząc, że za jego poprzedników Samuel wypożyczony z Korony i Litwy bawił bezkarnie i przemieszkiwał w Krakowie, zaraz z tem głośno się dał

słyszeć, że on wszelkiego prawa pilno strzec i wykonywać je będzie, a w swej jurysdykcji banity nie ścierpi na żaden sposób.

Zaczem przez marszałka koronnego i poprzyjaźnio-nego z kasztelanem gnieźnieńskim, Janem Zborow-skim, przestrzegał i upominał Samuela, ażeby, dopóki banieja z niego nie będzie zdjęta, nie pokazywał się ani w Krakowie, ani w jego jurysdykcji, gdyż prawu uczyni zadość i poblażać nie będzie.

Na to kasztelan gnieźnieński miał odpowiedzieć, że o tem słyszeć nie chce, oburzył się i dodał:

— W mocy go swej nie ma, poco te groźby próżne!

Nastąpiła wyprawa pskowska, a starostę pod ten czas zastępował z ramienia kanclerza naznaczony Plaza, starosta lubaczowski, jako *surrogator* (zastępcą). Z tego korzystał Samuel i na nic nie zważając, miejszkal w Krakowie, bywał nawet na zamku, czynił, co mu się spodobało, tak dalece zuchwale, że i on, i ludzie jego po ulicach strzelali. Dochodziło to Zamojskiego, ale zdala będąc, nie mógł nic począć.

Gdy potem po sejmie przyjechał do Krakowa kanclerz razem z królem, nie miał też czasu zająć się tą sprawą, bo właśnie Turek i Tatarzy zagrażali i podaw-szy warunki, których przyjąć nie było można, obiecy-wali się wtargnąć. Zaczem Zamojski nagwał ludzi mu-siał zbierać i na granicę bieżyć, aby nie dopuścić naj-scia. Ta czujność jego zachowała kraj od wojny.

Tymczasem, korzystając z wyjazdu Zamojskiego na granicę, pan Samuel natychmiast do Krakowa po-wrócił, o czem hetmanowi dano znać w drodze, ale ścierpieć to musiał, choć i dla króla rosto stąd niebez-pieczęstwo, bo pamiętało, że się z panem Ciolkiem zmawiał w mieście do niego strzelać.

Pan marszałek, Andrzej Zborowski, przeczuwając, iż brat był w niebezpieczeństwwie, zapragnął mu zapo-biec i posłał z Lublina do kanclerza z prośbą, aby na niego w Rzeszowie czekał dla widzenia się i rozmowy. Zamojski, nie mając czasu, ruszył jednak do Lańcuta, i tu go pan Andrzej napędził.

Poczęli mówić o sprawach familji i o panu Samuelu. Prosił za nim marszałek, kanclerz okazał się łagodnym.

— Szeroka Polska, — rzekł — niech w moją jurysdykcję nie wjeźdża, ja go gdzie indziej szukać nie będę.

Napomniał o to marszałka, aby brata przestrzegł surowo i wzbronił mu pokazywać się w Krakowie.

Marszałek przy tej zręczności prosił kanclerza o *bona officia*, aby u Tęczyńskich i pani Wapowskiej, i u króla wyjednał zdjecie banicji z jego brata. Obiecał Zamojski o tem mówić z Tęczyńskimi.

Później nieco, gdy kanclerz do Lwowa przybył, dowiedział się, że pan Samuel przyjechał tu także z Krakowa i stanął na przedmieściu. Nie chcąc się ścierać z nim, posłał Zamojski z przestrogą, aby wyjeżdżał, bo go tu obok siebie ścierpieć nie może.

Nim się to stało, pan Samuel, już przewidując, że Zamojski będzie mu czynił trudności, posłał od siebie po Kazimierskiego szlachcica, starszego słугę kanclerza, który wprzódy służywał u marszałka Zborowskiego, i powiedział mu:

— Proś wasza mość kanclerza, aby mi za złe nie miał tego, iż mnie tu noc zaskoczyła i spędzić ją muszę we Lwowie, jutro o świtaniujadę stąd precz.

Zamojski, do którego i Andrzej przyszedł się wstawiąć, ofiarując się nawet z Samuelem przeciwko Tataram iść, odparł, że przez noc tę jedną cierpieć go będzie, ale nazajutrz jechać musi.

— Co się tyczy Tatarów — rzekł dwuznacznie — przyjdzie li do potrzeby, będę wiedział, jak go mam użyć i jak obrócić, zachowując się *more majorum*.

I to pamiętnem było, że czasu wesela swego Zamojski z panami Tęczyńskimi mówił w sprawie Samuela i starał się ich do zgody nakłonić. Tymczasem przyszły listy Wojtaszkowe, a za niemi gniew królewski, którego już nic przebłagać nie mogło.

Od króla odebrawszy wyrok ten, kanclerz, chociaż nie był na co innego przygotowany, zafrasował się wielce. Pokazał go Drohojowskiemu i mówił z nim o tem.

Nie pozostało już nic nad to, że musiał wole królewską spełnić i gdyby Zborowski się podsunął bliżej, wiadomo w jakich zamiarach, bo Boksicki o wszystkim informował jak najdokładniej, ująć go było potrzeba. Zatem szło następstwo nieuchronne — wyrok się sam pisał na banitę — czekała go śmierć!

— Że Samuel na nią zasłużył, — mówił kanclerz — to nie ulega żadnej wątpliwości. Pominawszy Wapowskiego, którego ubił w pasji, co jeszcze zmniejsza winę, zabójstw, gwałtów, najazdów, rabunków, przemocy nad duchownymi, więzienia ludzi niewinnych nie policzyć! Świat cały wie o tem i dziwi się, że uszło mu wszystko bezkarnie. Ale mimo to śmierć Samuela będzie też wyrokiem zemsty i nienawiści na króla i na mnie. Nieprzyjaciele nasi ją wyzyszczą!

Drohojowski niespełna wiedział, jak w tej sprawie sądzić, ale mu się zdało z królem głosować, że tu już dobróć tylko uzuchwała i że nad nią dalej nic uczynić nie było można. Dla dobra więc Rzeczypospolitej trzeba było Zborowskich poświęcić.

Zamojski potem przywołać kazał do siebie Urowieckiego i Mroczka, z których ostatni o wszystkich obrotach Samuela był najlepiej uwiadomionym i aż drżała, aby go ująć.

Ukazał im obu list króla, użalając się na los swój, iż mu taki ciężki do spełnienia przypadł obowiązek.

— Miłościwy panie! — przerwał Mroczek. — Niema co namyślać się. Jedno z dwóch, albo my się na to narazimy, że oni na nas napadną, i choć się obroniemy, co już pewne, — ale godność wasza narażoną będzie w takiej walce z ladajakim wywołańcem; albo musimy go uprzedzić — co jest łatwiejsze.

— Jakże łatwiejsze? — zapytał hetman. — Gdzie on jest?

— Do Piekar ciągnie w tej myśl, że nas w Proszowicach ze dwu stron zajdzie, bo ma dwa oddziały, które na to są nasadzone. Zdaje mu się, że o jego obrotach nikt nie wie i pochlebia sobie, że nas w pierwospy naszedłszy, w łóżu miłość ważną rozsiekać każe. Cze-

kać więc na to, aż się porwie, — niedobra rzecz. Jest nas tu dosyć, aby i przy miłości waszej dostateczna straż pozostała, i my z panem Stanisławem Żółkiewskim i panem Urowieckim na dwór w Piekarach poszli, gdzie go pewniej w łóżu u przyjaciółki i siostrzenicy Włodkowej najdziemy, niż on nas w Proszowicach.

Nie podobało się to zrazu kanclerzowi i rzekł:

— Na dwór szlachecki, a do tego kobiety, wdowy, nocą nachodzić, — nie nasza rzecz. Wziąć go gdziekolwiek bądź, ale nie w Piekarach zdaje mi się.

Mroczek stał przy swojem.

— Gdzie indziej nie może być — rzekł. — Wygnąćby się nam mógl i wyrąbać, bo mu to przyznać muszę, iż mążny jest i gdy raz do boju przyjdzie, niełatwo go imać. Żywotów ludzkich może to kosztować, a tych szkoda. W Piekarach zaś, jak ptaka w gnieździe, gołą ręką go weźmiemy.

Urowiecki natychmiast też jał za Mroczkiem mówić.

— Rotmistrz to najlepiej rozważył i obmyślił — rzekł. — Niech miłość wasza zda wszystko na niego. Ja się też ofiaruję z pomocą.

Wtem z drugiej izby, do której drzwi stały nawpół otwarte, wyszedł młodzieniec, pokrewny kanclerza, pan Stanisław Żółkiewski, i przystąpił z poszanowaniem, całując go w ramię.

— Ja się też dopraszam tego, abym ichmościom towarzyszył — odezwał się. — Idzie tu o zdrowie i życie wasz, który nam wszystkim i królowi jest najdroższy; ani się godzi go na wagę kłaść pospołu z życiem banity takiego, o którego postępках słuchając, uszy więdną, a obcy ludzie zdumiewają się im, pytając, jaka to jest ta Rzeczpospolita nasza, w której zbrodzień podobny bezkarnie chodzić może długie lata, z wyrokiem nad głową, którego nikt nie śmie spełnić ino dla tego, że do rodziny możnej i znacznej należy.

— Wszysko to prawda, — odezwał się kanclerz — wszystko to ja sobie mówię i wiem, a niemniej, gdy

przychodzi krew ludzką przelać, nie na wojnie, ale wśród pokoju, ręką katowską... wzdryga się dusza!

— Zaprawdę — odparł Żółkiewski. — Ani starostą, ani sędzią miłości waszej być nie przystało, bo lekając się krwi przelewu, dozwolicie, aby bezkarnie tacy ludzie, jak Samuel, przelewali krew niewinną.

— Nie czyńże mi z tego zarzutu, — rzekł Zamojski — już mi nie o Samuela idzie, ale o *modus*, jakim go ująć należy. Wstrętny mi jest wszelki pozór gwałtu, a tego nie umikniemy, nawet biorąc go w Piekarach.

Wtem Urowiecki, bardzo śmialy człek, dodał:

— Wasza miłość więc chyba go zachęcić pragniecie, aby ośmielony — Kraków nawiedził, co on niechybnie dokona.

— Tam go nie ścierpię! — odparł Zamojski.

— A no, Piekary są tak dobrze waszą jurysdykcją, jak i Kraków; więc, gdy wiemy tam o nim, — rzekł Żółkiewski — imać go mamy obowiązek.

— A jeśli napadu dokonawszy — odezwał się Zamojski — przy porze nocnej i nieznajomości mniejsza, winowajcy nie weźmiecie, co łatwo stać się może, jeżeli on się wam wyśliznie, naprawżno tylko kobiety i dzieci, jak zbójcy, nastraszcycie. Pójdą wówczas skargi, iż go tam, jako żywo, nie było, a my popełniliśmy bezprawie, spokojny dwór wdowi po nocy najeddając! Choćby i staroście krakowskemu, sprośna to rzecz.

— Ja zaś głową bodaj ręczyć mogę, — wtrącił Mroczek — że go tam weźmiemy. Naprzód co do samego dworu, ja go z czasów pana Włodka znam dobrze, a nie zmienił się weale. Co się tyczy obrotów Samuełowych, wiem też najpewniej, że uradzono pośpiesznie, nam zabiegając drogę, bieżeć do Piekar, gdzie na noc będą pewnie. Czy na dzisiejszą zaraz noc uchwalono najście na Proszowice i na nas, tego nie wiem i twierdzić nie będę. Owszem, znając Samuela, sądzilbym, że przybywszy do Włodkowej, wczasu zażyje i dopiero może nazajutrz o nas pomyśli. Zatem noc tę mamy, aby zamiary jego niegodziwe zniweczyć.

Zadumał się kanclerz i siadlszy, jał list króla na

nowo odczytywać, jakby się pragnął przez to w swem postanowieniu utwierdzić.

Wszyscy, nie wyjmując Stanisława Żółkiewskiego, czekali. Urowiecki tylko i Mroczek, korzystając z chwili, młodego pana starali się namówić, aby przy kanclerzu pozostał i niepotrzebnie się z nimi na tę wyprawę nie narażał.

— Dajcie mi ichmość, proszę, pokój — rzekł Żółkiewski. — Rad będę szabłą moją służyć kanclerzowi i nie odstępuję od tego, że mi z sobą iść dopuścicie. Mała to rzecz jeden człowiek, ale podczas i ten przydać się może.

Powstał tedy Zamojski z siedzenia, wzdychając a pomrukując:

— *Dura lex! Dura lex!*

Widać było, że tylko zmuszony listem króla Zamojski na tak stanowczy krok się ważył, chociażby był chętnie raz jeszcze folgował. Ta też okoliczność się przyczyniała do decyzji, że Mroczek i Urowiecki zapewniali, że jeśli hetman nie kazał ująć Zborowskiego, on niechybnie napaść swą na niego dokona.

WCale się jej nie lękając, Zamojski godność swą musiał mieć na względzie. Niemiarem mu było narazić się na starcie z takim Samuelem i na wszystkie ustępstwa i tłumaczenia, jakie stąd wyniknąć inusiały.

Nie mógł więc już wahać się dłużej. *Dura lex* nakazywała ująć zuchwałego człowieka, który jawnie na niego godził. Wiedziano bowiem bardzo dobrze, iż gdy hetman był w Szydłowie, Zborowski umyślnie się zbliżył do niego, do Stobnicy biegając, a potem do Stogniewic. Gdy zaś wszędzie się przypóźnił, zostały mu Piekarzy, z których na Proszowice miał się rzucić, nie obrachowawszy się z czasem.

Ponieważ wedle doniesień Boksickiego, w Złoczowie najmocniej uchwalono i niemal poprzysiężono kanclerza w jakikolwiek sposób zgładzić, gdyby się teraz nawet nie powiodło, rzecznie nie była skońzoną, ale gdziekolwiek bądź, przy pierwszej podanej zręczności

odnowić się mogła. Raz więc temu koniec położyć było trzeba.

Zamojski, który, jeśli nie całą może doniosłość kroku, jaki miał uczynić, obrachował, znał jednak ważność jego i w chwili, gdy już miał wydać rozkazy, wahał się, dał znak Mroczkowi, aby czekał, a sam wszedł do przyległej sypialni.

Tu przy skromnym obozowem łóżu jego, na klęczniku, stał na złotej blasze malowany, starodawny obraz Matki Boskiej (druga strona wyobrażała Chrystusa na krzyżu). Hetman zwykł się był przed tym obrazem modlić gdy miał stoczyć bitwę.

I teraz czuł dobrze, że walkę rozpoczynał nietylko z rodziną jedną, mnogimi węzłami związaną, z wielu innemi po całym kraju rozsianemi, ale ze stronnictwem, choć słabem, zato ruchawem, krzykliwem, popyieranem z zagranicy, wyzyskiwanem przez wszystkich nieprzyjaciół Batorego i jego.

Było to rzucenie mu rękawicy, wypowiedzenie wojny, która i długą, i ciężką być mogła, a przypadała na ten czas właśnie, gdy zewnątrz jeszcze z wielkim kniązem moskiewskim końca i rozejmu nie było. Turek groził, a cesarz intrygował. Gdyby osobiście mógł się był widzieć i rozmówić z Batorym, możeby go ubłagał i walkę tę przynajmniej odroczył.

Tak sobie wystawał Zamojski, choć w istocie żadna siła nie potrafiłaby była żelaznego a mściwego i rozdrażnionego szlachecką butą króla powstrzymać.

Pod wrażeniem chwili tej stanowczej, która mu na długo spokój zatruć miała i przymnożyć nieubłaganych wrogów, Zamojski ukląkł przed obrazem, złożył ręce i głowę pochylił. Modlił się tak gorąco, ale nie-długo. Męstwo i otucha wstąpiły w serce. Spełniał rozkaz królewski, czuł się w sumieniu wolnym, prosił tylko Boga, aby go oświecił i dał siły.

Gdy wstał potem, miał na obliczu swe hetmańskie męskie, które w przededniu najzaciętszych walk okazywały, powagę sędziego, majestet królewskiego zastępcy. Wyszedł napowrót do izby pierwszej, a Urowiecki,

Mroczek i młody Żółkiewski zdziwili się zmianie, jaka w nim zaszła. Odszedł, jakby pod naciskiem bólu jakiegoś, powracał chłodny i wypogodzony.

Zwrócił się zaraz do Urowieckiego i Żółkiewskiego, ale pan Stanisław, nim mówić począł, odezwał się:

— Proszę dowództwo zdać na tych ichmościów, którzy znają miejsce, ludzi i okoliczności, — ja tylko rękę chętną ofiaruję.

— Wielu on tam ludzi z sobą mieć może w Piekarach? — zapytał hetman.

— Trzydziestu może, — rzekł Urowiecki — bo połowa ich jest z Luzickim. Ludzie odważni, ale nie będzie komu pokierować nimi; wątpię, ażeby nawet skupili się i bronili.

— A ze swego dworu kogo ma przy sobie? — mówił dalej Zamojski.

Mroczek i Urowiecki spojrzeli po sobie i liczyli.

Byli z nim — Borowski, ów sokolniczy, a teraz dowódca, Chełmski, Morawa, Bałaban, Skorowski, Rychnowski, syn Oleś i siostrzan Stadnicki, — gromadka dosyć znaczna.

— Trzeba na to liczyć, — rzekł Mroczek — że my, unikając niepotrzebnego krwi przelewu, poczekamy, aż się do snu udadzą, więc pobudzeni niebardzo się bronić będą mogli. Samuel, choć szable i sahajdak ma zawsze nad łóżkiem, ale śpi twardo i gdy się obudzi, nie zaraz oprzytomnia.

— Szczędźcież, proszę, innych, — odezwał się hetman — a niepotrzebnych ran i zabójstw unikajcie. Byłeście jego, a z nim papiery, które w szkatułce z sobą wozi, jak powiada Boksicki, dostali — reszty zaniechajcie. Syna nie tykać. Wszyscy to chłopię bardzo chwalą; niech się w nim dawna poczciwość Zborowskich odrodzi.

Westchnął hetman, mówiąc to — i pytał dalej.

— Wielu z sobą myślicie wziąć na tę wyprawę?

Urowiecki głosował za tem, aby dobrą uczynić, a liczbę brać nie tak znaczną i po drodze oczów na siebie nie zwracać. Mroczek nie widział w tem złego,

choćby o kilku więcej się zebrało, bo mogli drudzy Samuelowi, z Luzickim stojącym nieopodal, nadbiec i o odbicie się kusić. W istocie zmuszało to liczbę powiększyć.

Urowiecki z Mroczkiem mieli kierować najściem na dwór, Żółkiewski też ofiarował się, choćby osobiście na Samuela. Była to młodociana gorliwość żołnierza, który szuka zręczności do walki, choćby nawet z takim nieprzyjacielem, jakim był Zborowski.

— Gdy go Pan Bóg da ująć, — zapytał Urowiecki — mamyż go tu przyprowadzić, czy...

— Do Krakowa na zamek — odparł hetman. — Wprawdzie żaden tu sąd i zwłoka nie potrzebna, bo banita, wpadłszy w ręce, już jest zabity, ale wolę go posadzić, — poczekać. Może król zmieni postanowienie... a ma li być śmiercią karan, — cicho dodał Zamojski — niech pani Wapowska też instyguje przeciwko niemu. Zmniejszy to srogość króla i moją, gdyż na niego, a szczególnie na mnie, rzucą winę tej śmierci, choć, Bóg świadek, kielich ten odwracałem ode mnie, pókim tylko zdołał. Ale są człowiekowi przeznaczone rzeczy, których on uniknąć nie może. Bądź więc wola Twoja.

I pomruczawszy coś cicho, kanclerz dodał:

— Prowadźcie go wprost na zamek i osadźcie w wieży, a straż niechaj będzie pilna. Nie szkodziłoby może, aby który ze starszych w izbie przy nim siedział. Ludzi do niego obcych dopuszczać się nie godzi. Zresztą ja sam albo was napędzę, lub rychło tam będę.

Urowiecki z Mroczkiem jeszcze w obecności hetmana poczęli rozprawiać o liczbie i wyborze ludzi i broni, jaką z sobą brać mieli... ale w tem byli z sobą wszyscy zgodni.

— Patrzajcie tylko! — dodał Zamojski. — Gdy się krok czyni, rozumnego człowieka dziełem jest tak go obmyśleć, aby się powódź i nie chybił. Gdybyście mieli wpaść, a nie wziąć go i dać mu się wymknąć, natenczas królowi, mnie i wszystkim więcej zła uczynicie, niż dobrego, gdy go weźmicie. Zważcież pewnie, aby nie uszedł!

— Ze w Piekarach będzie, to nie ulega wątpliwości, — zawała Mroczeek — a że my go ułapim, to także pewna, boć dwór obstawimy tak, że mysz z niego nie wyjdzie. Jeżeli oręża dostanie i bronić się będzie, a w tej walce legnie...

— Nie będzie ani waszą winą, ani wam za to włos spadnie z głowy — rzekł hetman. — Nie ledwiebym to wolał, niż długą z nim procedurę; i onby rycersko skończył — nie z katowskiej ręki.

Westchnął hetman.

Szli więc Urowiecki i Mroczeek, naradzając się, ale tak, ażeby przygotowanie do wyprawy wieczornej wcale nie było widoczne i nikt się go nie domyślał; każdy z nich pojedyńczo ludzi swych na godzinę umówioną cicho przysposobił tak, że jedni o drugich nie wiedzieli. Oni sami wieczorem na włos nie zmienili codziennych zajęć, tak, że każdy do snu poszedł i światła pogaszono, straże zaciągnęto, wedle obyczaju.

Urowiecki, Mroczeek i Stanisław Żółkiewski poubierali się i uzbroili zawsze, a gdy godzina wyjazdu nadeszła, cicho w dziedzińcu tylnym zgromadziwszy się, na koń siedli i tylnemi wrotami tak wyciągnęli w pole, że nikt, oprócz straży, o nich nie wiedział.

Hetman kazał sobie, o którejkolwiek godzinie Żółkiewski powróci, natychmiast dać znać, co się stało i obudzić.

Noc była wiosenna, cicha, ciepła... chmurna, a ptaszki na zabój śpiewały o życiu, gdy tu śmierć się gotowała i tragedja okrutna, której skutki długo potem w kraju odbrzmiewać miały.

Na dworze w Proszowicach tylko lampeczka nocna przed obrazem w sypialni hetmana blado płonęła.

III.

Wierny swemu obyczajowi, którego odmienić nie mógł, Samuel, choć mu się we wszystkiem nie powiodło, a ludzie najgorzej służyli, jechał dalej, już na Pie-

kary tylko rachując. W Piekarach wszystko się miało dokonać!

Tymczasem zabawiał się. Miał przy sobie dobrych towarzyszów kilku, rozumie się ulubionego Borosia i sokoły, Stefana Stadnickiego i slug trochę ze psami.

Około Podolan miejsce się okazało sposobne, więc puszczano ptaki, w czem Borosio okazał się dziwnie zręcznym, że dla niego dosyć pochwał nie miał Samuel, a tak był wesół, jak nigdy.

W Podolanach zachciało mu się donieść o wszystkim Andrzejowi, który niespokojnie oczekiwał, co się stanie, a że go już szpiegami wystraszono, list umyślnie napisał taki, aby w ręce kanclerza wpadłszy, w błąd go wprowadził.

Stało w tym liście:

„Pan Kanclerz już ku Krakowowi jedzie, jest wprzód. Ja sam z Borosiem zabawiam się z sokoły koło Podolan, któremi po staremu kugluję. U Pani Włodkowej w Piekarach spać będę; nie frasuj się wasza mość o mnie, boć sam żadnego niebezpieczeństwa nie widzę, ja też nikomu nic takowego nie myślę, tylko *la pace, la pace Senior*. Widziałem ci to na oko, że mnie kanclerz szpiegował, ale podobno nie żebym co takowego myślał, tylko się bardziej na mnie ogląda, jakobym ja, żem jest banit, nie miał być Zborowskim! Toć już w Krakowie nie będę, chociaż Czechę posłałem do Luzickiego już przed sobą; kilku do pana Żupnika wyprawię, kiedy się będąc mieli ruszać“.

Tak igrając i kuglując z sokoły, żartując z Borosem, rozprawiając o tem, jako się na jutro gotować potrzeba, dojechali ichmoście zdrowo do Piekar, gdzie na nich Włodkowa w zamku już z wieczerzą na stole oczekiwała.

Zawsze tu z jego przybycia radość bywała wielka, ale teraz podwójna, bo czuli wszyscy, że się coś wielkiego przysposabiało i było za pasem. Włodkowa, znaając mestwo wuja i jego rzutkość, bynajmniej nie wątpiła, iż co on przedsięweźmie i obmyśli, to musi się szczęśliwie obrócić.

Przy stole była ochota wielka, ale na d&ugacute; sié nie zaciagnélo, bo wszyscy czuli sié zméczeni, a siły byly potrzebne na jutro.

Siano zaraz wszystkim lózka, gdzie i jak bylo možna. Dla pana Samuela w izbie wielkiej, przy którym miał byc Borowski i Bałaban, dla Chełmskiego Morawca w bocznej izbie obok, na górze w komnacie mieściли się syn Oleś i pan Jędrzej Stadnicki.

Pożegnawszy Włodkową, która dopilnowała, aby każdy przy łózku miał kubek i napój dla snu potrzebny, wedle obyczaju — szli strudzeni spać tak, że przed północą cały dwór w Piekarach w najgłębszym śnie był pogrążony.

Samuel szczególnie, że konną jazdą znużony był, bo miał pod sobą dnia tego konia, który nogi, prawda, miał doskonale, ale nosił tak, że mało kto na nim wytrwał, — usnął bardzo mocno.

Borowski, zawsze czujny, spał ino jednym okiem, gdyż i myśleć było o czem.

Wtem, mało co po północy, w dziedzińcu rozeznał zdala naprzód stąpanie koni, potem bieganie ludzi i chrzest broni, którego uniknąć niepodobna, z ruszniami zwłaszcza.

Zaledwie to uszu jego doszło, stracił ducha; wieǳiał już, co to było! Przepowiadano im, że hetman na swą jurysdykcję ich nie puści. Nim Borowski — boso, oponczę tylko narzuciwszy, zerwał się, otworzył szybę i wyjrzał przez okno, pod ścianami ludzi już było pełno.

Stracił głowę i co miał Samuela zbudzić, a o ratunku dla niego myśleć, z izby do komory pocichu sobie drzwi otworzył... st&acut;ad na podwórkô.

Tu jeszcze jakoś nikogo nie było i Borowski śmignał wprost do stajen. Mówił potem, jakoby Samuela budził, ale go się do budzić nie mógł; zresztą sam potem wy tłumaczyć nie umiał, co zrobił, — płakał tylko.

Obudził się potem na hałas Bałaban i biegł do okna, a ujrzałszy w dziedzińcu ludzi pełno, pośpieszył do Samuela. Tego na łózku już nie znalazł, tylko pościel pomiętą. Widać było, że Zborowski broni swej szu-

kał, — ale jej nie mógł znaleźć. Murzynków dwóch, którzy mu posługiwali, schowali ją pod kobierczyk i tam pozostała.

Później już dojście nie było można prawdy — a i sam Samuel nie pamiętał dobrze, co czynił, gdy się obudził. Murzynkowie mówili, że broń, wedle zwyczaju, złożyli w lożu u głowy; Borowski powiadał, że on to uczynił. Sahajdak wisiał ze strzałami nad łóżkiem, ale tego Samuel nie pochwycił.

Bałaban, drzwi znalazły otwarte, którymi przez komorę uciekł Borowski, sam też za nim podążył.

Wszystko to działo się wśród ciemności, bo noc była chmurna, a światła nigdzie po izbach.

Oblegający dom, czy dla postrachu, lub mając kogo na celu, poczęli dawać ognia, tumult się już wziął wielki.

Włodkowa, która spala na górze, narzuciwszy ledwie chustę na siebie, zbiegła do swych sług nadol, gdzie wszystek jej francymer się znajdował, i tu znalazła Stadnickiego, który za piec się wcisnął. Ten opowiadał jej, że skoczył był zaraz do izby, w której Samuel spał i szukał go wszędzie, ale go już nie znalazł.

— Uszedł, da li Bóg, za co Jemu chwała! — dodał Stadnicki.

Złożyła ręce Włodkowa, modląc się.

— Boże milosierny! co się to dzieje.

Zmiarkowała dobrze, co to znaczyło, ale pewni byli, że umknął.

W tym momencie Żółkiewski tylnimi drzwiami, które wyrąbać kazał, skoczył ze swoimi ludźmi i wpadł między wystraszone białogłówki i małe dziewczęta.

Zarazem drugimi drzwiami, także wyrąbanymi, wtargnął Urowiecki, a za nim Mroczek z wrzaskiem, strzelaniem a hukiem.

Oprócz oddziału, który prowadził Urowiecki, Mroczek i przy którym był Żółkiewski, już na drodze na ochronnika, gwałtem prawie, przylączyły się do nich Drohojowski z kupą przemyślan. Ci teraz z Sernym, po-



zostawszy w podwórzu, dla postrachu ustawicznie do dworu strzelali.

Stał się więc sądny dzień prawdziwy: lament kobiet, wołanie żołnierzy, strzały, hukanie, groźby, łomot. W jednych izbach ciemność, w drugich pozapalane światła.

Z wielkiej gorliwości, aby im ofiara nie uszła, bo jej jeszcze nie mieli, Urowiecki i Mroczek niemal poszaleli. Pamiętali, co im hetman mówił, — ujdzie li, — jakie z tego następstwa będą, więc na gwałt rzucili się na tych, których znaleźli i pochwytali, na Stadnickiego i na Chełmskiego.

— Gdzie Samuel, dawajcie go!

Urowiecki był nawet i groził śmiercią, tak, że Chełmski i Stadnicki od zniewag i razów się obronić nie mogli.

A ciągle się rozlegało:

— Gdzie Samuel?

Z siepaczy zaś ich, którzy się po domu rozproszyli, jedni szafy rozbijali, drudzy po kątach plondrowali. Włodkowa, choć kobieta, nie straciła odwagi i krzyczała jak na zbójów.

— Jak śmiecie dom mój najeżdżać, toć rozbój jest, toć gwałt, to o pomstę do Boga woła, żeście mi dom okrwawili! Jestem li co winna, odpowiem, ale gwałtu zaprzestańcie!

Ale do Urowieckiego i Mroczka mówić było jak do ściany, bo oni z tego strachu, żeby im się Samuel nie wymknął, głowy potracili.

Chełc Stadnickiego zmusić, aby go wydał, poczęli strzelać do niego i naraz z kilkunastu rusznic dali ognia, ale chybili wszyscy, chociaż Stadnicki ogluszony padł na ziemię.

Szaleli tak, bo Samuela dotyczezas ani śladu, ani słuchu nie mieli, a znali go, że mając czasu dosyć, pewnie im mógł ujść — gdy oni głowami ręczyli za to, że *o wezmą*.

Niektórzy więc puścili się na górę, gdzie spał syn Oleś, a był przy nim sługa wierny, Skorowski, który

go chciał bronić i cały krwią oblany szedł, bo go porąbanio.

Oleś, obryzgany także, przełękły, wpadł do izby białych głów, ojca szukając. Zobaczywszy go okrwawionego, kobiety poczęły krzyczeć:

— Zabili Stadnickiego... Oleś ino żyw! Zabili Olesia!

Trzeba było znać Samuela, aby zrozumieć to, że imię syna posłyszawszy i słowo to: zabity, o własnym bezpieczeństwie zapomniał.

Gdy się obudził, a już naówczas ani Borowskiego, ani Balabana nie było, rzucił się bezbronny, niedobrze jeszcze oprzytomniawszy, do sionki malej, do której dotąd nikt nie zaglądał, ale z niej wyjścia nie było. Prędzej, później ujeliby go byli w niej, jak w saku.

A miał bezpieczną ocalenią drogę — tę, którą uszli Borowski i Balaban, bo z tamtej strony nikt ani zajrzał, aż do samego końca drzwi były pootwierane, droga do stajen wolna. W stajni konie i pole tuż a las.

Ale komu Bóg zginęć przeznaczył!

Posłyszawszy: Oleś zabity! Samuel wyskoczył na ten głos i w jednej koszuli, jak się z łóżka zerwał, stanął przed nimi.

Pierwszy Urowiecki go zobaczył.

— Czego chcecie? — zapytał Samuel dosyć spokojnie, chociaż wiedział już, co to znaczyło.

— Ciebie chcemy mieć, — zawołał Urowiecki — pójdź z nami do pana naszego, kanclerza, a teraz z nikim nie waż się mówić, bo będziesz zabity!

Zapalili zaraz świecę i uciętło; słyszać było tylko płacz kobiet.

Samuel, zobaczywszy syna, że żywy był, pomyślał, że mało, krew swoją zimną, którą tylko w zlych razach podeczas miewał, gdy już sprawą była zrozpaczena, odzyskał. Bo jak gwałtowny i impetyczny się okazywał, póki miał nadzieję, że się wyraźnie i obroni, tak w ostatniej toni lekko sobie wszystko ważył.

Radość tedy ichmościów, co tego bohaterstwa dokazali, była wielka, bo o mały włos, a łacnoby im uszedł.

Nien się tedy odział, a nim oni z końmi, ludźmi i bronią do ładu przyszli, uplynęło dosyć czasu wśród płaczu i lamentów Włodkowej, syna i Stadnickich. Tym wszystkim już nie czynili nic, obstawiwszy tylko Samuela swoimi, aby z nikim mówić nie mógł.

Ludzie pana Samuela i wozy jego stali noclegiem w Stogniewicach, dokąd zaraz nadeszła wiadomość, że pana Samuela ujęto i że jeszcze byli z nim w Piekarach, wybierając się do Krakowa.

Rychłowski, który przy wozach był, nadbiegł z ludźmi, ale nie miał już tu co czynić.

Gdy rankiem do izby, w której go trzymano, wpadł Rychłowski, Samuel, zobaczywszy go zdala, odezwał się mimo zakazu:

— Daj już pokój, Rychłowski niebożę, nie masz tu co czynić. Jedźcie do syna, służcie jemu, a szkatułę tam moją miejcie w dobrem opatrzeniu.

Na biedę szkatułę tę wspomniał, gdyż potem Urowiecki o niej zaraz kanclerzowi doniósł i posłano po nią, aby wydano, a sludzy ze strachu i nieopatrznosci oddali ją, jak była.

Ucichło wtedy w Piekarach, chociaż je żałobą oblekle to nieszczęście, a Włodkowa, Stadnicki i syn w pierwszym momencie głowy potracili, lecz zaledwie Urowiecki, Samuela z sobą wioząc do Krakowa, ruszył, i w Piekarach myśleć poczęto o ratunku.

Zdawało się, że jeszcze drogi pozostawały i środki, aby odwrócić od Samuela karę główną, jaka mu z powodu banicji zagrażała.

Stadnicki, choć zbity i napoły żywy, natychmiast siadł na koni i do Sandomierza do marszałka Andrzeja popędził. Przybył tu może w godzinę potem, gdy list ów z Podolan pisany przyszedł.

W progu zobaczywszy bladego siostrzeńca, marszałek prawie odgadł nieszczęście.

— Jędrusiu! — zawołał. — Co się stało?

— Gwalt wielki; na dwór w Piekarach nastał kanclerz, ze strzelaniem i przemocą siepaczy, ledwem ja żyw uszedł, a Aleksander okrwawiony. Samuela slu-

dy odbiegli, głowę stracił, sam się im w ręce dał, wzięli go i do Krakowa na zamek powieźli; ani się z tem tają, że go główna kara czeka. — Kanclerz sam ludzi z Proszowic wyprawiał. Wiedział o każdym kroku.

Marszałek z załamanemi rękami słuchał.

— Przeczuciem miał — rzekł. — Co tu czynić?

Zrazu w istocie nie wiedział nawet marszałek, co miał przedsiębrać, ale najpierwszą było rzeczą kasztelanowi dać znać, aby bronił, a Krzysztofowi, aby o sobie myślał, bo i temu z listów i papierów sąd mógł zagrożać.

Tegoż dnia biegli posłańcy do Lublina do panów, w trybunale zasiadających, którzy wymiar sprawiedliwości mieli powierzony, aby oni się ujęli za zdradliwie pochwyconym banitą, który, jak dowodził marszałek, dlatego dekret sobie mało ważył, iż go ani król, ani kanclerz nigdy nie przypominał i dawali mu w wojsku i w kraju swobodnie przebywać.

Szły listy do Jana, do pokrewnych, do Stadnickich, do pana z Górką, do Tarnowskich, do Spytkowej, — ażeby wszelkich wpływów swych zażyli dla ocalenia chociażby żywota Samuelowi.

Obawiano się, aby kanclerz, zabiegając wpływom właśnie, nie przyśpieszył wykonania dekretu, ale mylili się w tem, gdyż Zamojskiemu tak on był bolesną koniecznością, iżby był rad jak najdalej go odroczyć.

Spodziewał się może przy osobistem widzeniu się z Batorym skłonić go do łaskawości.

Jeszcze Zborowskiego nie doprowadzono do Krakowa, gdy już wieść z Piekar, ze Stogniewic i z Proszowic z szybkością błyskawicy rozbiegła się dokoła, — iż Zamojski pochwycić kazał Samuela i wprowadzić na zamek do Krakowa.

Ta nagła surowość względem człowieka, który przez czas tak długi swobodnie się wszędzie ukazywał publicznie, a nawet bywał w stolicy, tłumaczyła się wprawdzie dla wtajemniczonych historią Wojtaszka i pochwyconych korespondencyj, które spisku na życie króla i kanclerza dowodziły, ale dla innych był to

krok tylko obrachowany, aby kraj i niechętną szlachtę przejąć trwogą i okazać jej, że król nikomu poblażać nie myśli, ani rodzinom znaczny, ani tym nawet, co mu do zdobycia korony dopomagali, bo do tych się liczyli Zborowscy.

Już wprzód na niepomierną surowość Batorego, na tyranię jego podnosili się głosy, teraz zerwała się burza, uderzono na gwałt; nieprzyjaciele nawet Zborowskich widzieli w tem porwanie się na swobody i przywileje szlachty, cóż dopiero rodzina, spokrewnieni, przyjaźni i ci, którzy stojąc po stronie cesarza, wyzyskiwali, co mogli, przeciw królowi.

To, co przewidywał Zamojski, ziściło się z nawiązką; w jednej chwili umysły były zaognione, wzniósły się wyrzuty i krzyki najgwałtowniejsze.

Dotykały one króla, który był odpowiedzialnym za Zamojskiego, ale w daleko większym stopniu spadły na kanceliera. W nim widziano instygatora, sprawcę, winowajcę. Nieprzyjaźń ze Zborowskimi, odgrózki Samuela dawno były znane powszechnie; uwięzienie uważano, jako pomstę osobistą. Sprawa stanęła jako walka Zamojskiego ze Zborowskimi.

Od zabójstwa Wapowskiego, przez szalone wybryki Samuela, postępowanie nieczyste i niejasne jego braci, przerzucenie się ich do cesarskiego obozu, — Zborowscy znacznie na swym wpływie i poszanowaniu u ludzi stracili, ale zawsze, choć nadrujnowany marszałek, choć zubożały podczaszy, mieli jeszcze i majątkości rozległe i stosunki ogromne, i związki, i klientów a szlachtę drobną, która ślepo szła z nimi.

Uwięzienie Samuela przychodziło też w samą porę dla tych, co przeciwko królowi knowali i gotowali zażartą opozycję na sejmie. Ze wszech stron zabierano się je zużytkować, dowodząc samowoli, gwałtu, nieposzanowania praw stanu uprzywilejowanego.

Przez tyle więc lat wolno było banicie ukazywać się wszędzie, nikt mu nie mówił słowa, dano sięubezpieczyć, a potem schwyciono go, jak w pułapkę.

Poruszenie umysłów, wywołane wiadomością o na-

padzie na Piekary, z każdą chwilą przybierało rozmiarы groźniejsze; dodawano do tego opisu nocne ujście na dom kobiety, wdowy bezbronnej, — okrucieństwo, z jakiem Urowiecki i Mroczek postąpili względem niej, małoletniego syna Samuelowego, młodego Stadnickiego i służby, strzelanie do domu, plondrowanie, wyrabywanie drzwi, wrzaski, odgrózki i t. p.

W listach i opisach tej nocy powiadano:

„Toć się stało tego dnia w Piekarach, w dworze przywilejowanym pani Włodkowej, z piątku na sobotę w nocy dwunastego dnia maja, gdy miesiąc w ogonie był smokowym, w kilka dni po zaćmieniu słońca w tym roku“.

Dla szlachty było to w istocie nowe słońce zaćmienie, bo ukrócenie swobód jej... targnięcie się na jej prawa.

Miał za sobą Zamojski banicję, która nigdy przestępcość nie może, ale dlaczegóż jej przez lat tyle nie użytkował?

Przybycie kanclerza do Krakowa nie uprzedziło niezmiernego niepokoju, jaki uwięzienie Samuela sprawiło. Zastał tu już wszystkich swych przyjaciół zaalarmowanych, przestraszonych. Zaledwie zażegnane niechęci miały się więc rozognić znowu! Wszyscy prawie potępiali tę surowość!

Poważny, zimny, spokojny kanclerz na pytania, na ubolewania nawet nie odpowiadał, zbywał je majestatycznem, bardzo znaczącym milczeniem. Na króla odpowiedzialności składać nie mógł... sam bronić się nie myślał, a na wszystkich twarzach czytał pytanie nie-spokojne: — Cóż dalej?

Tegoż dnia nad wieczorem nadbiegł na zamek ks. biskup Myszkowski, po którego obliczu zmienionem, bladości i poruszeniu kanclerz poznał, że i jego ta sprawa Zborowskich mocno obchodziła i trwożyła.

Nie zagadnął o nią w chwili pierwszej, pytając o podróż, o zdrowie, o króla, lecz łatwo było poznać, że to wszystko było tylko wstępem do najważniejszej rzeczy,

do zapytania o Samuela, do interwencji za łagodnością i miłosierdziem.

Kanclerz i biskup nie śmieли dłucho dotknąć tej struny drażliwej, naostatek Myszkowski, już się powstrzymać nie mogąc, ręce złożył i zawałał:

— Kanclerzu mój, poznajesz po mnie łatwo, żem ja tu nie z samem pozdrowieniem pośpieszał. Co za straszliwe wieści! Jakże się stało, że Zborowskiego Samuela ujęto?

Chłodno odparł kanclerz:

— Z mojego rozkazu! Napominałem go, aby się w mojej jurysdykcji nie śmiał ukazywać. Na przekorę i szyderstwo przybył do Piekar, gdy wiedział o mnie w Proszowicach. Gotowano zamach na mnie, — musiałem go uprzedzić.

Biskupowi łzy się toczyły po twarzy.

— A! następstwa tego kroku są nieobliczone — zawałał. — Król i wy ucierpicie... poruszyliście gniazdo osie!

— Wiem o tem, — rzekł Zamojski — ale osy te nam w oczy lazły i kąsaly, — raz z niemi skończyć potrzeba.

— Skończyć! — przerwał biskup. — To dopiero początek, a koniec, koniec... nie daje się przewidzieć, ani obrachować. Surowością u nas obcemu, jak Batory, nic począć nie można, — łagodnością wszystko łatwo.

— Pobłażaniem doszliśmy do bezprawców — zawałał Zamojski. — Trzeba granicę położyć temu; czas był, musiałem. Nie cofnę się.

Biskup, nie śmiejąc już pytać, milcząc ręce załamał; domyślał się reszty. Głowa mu opadła na piersi, zdawał się modlić w duchu, aby Bóg zmiękczył serca.

Rozmowa, przerwana na chwilę, podjęta została z krwią zimną przez Zamojskiego, który z wyraźnym rozmysłem omijał króla, usuwał wszelki wpływ jego, tłumaczył siebie tylko i wszystko brał na swe barki. Biskup znał już obu nadto, aby się tem dał złudzić; wiedział, co miał trzymać.

Spodziewał się, że kanclerza nieco łagodniej usposobić potrafi, ale wkrótce przekonać się musiał, że bez namiętności, bez gniewu, chłodno — Zamojski stał przy swojem, jako przy następstwie koniecznym prawa, które poszanowane i spełnione były musiał, aby wrazić narodowi wogół znaczenie praw, z których nikt wylamywać się nie mógł.

Gdy po długich dość odwiedzinach powstał Myszkowski, aby pożegnać kanclerza, smutkiem oblekła mu się twarz poważna, bo wiedział już, że Zamojski nie ustąpi, że postanowienie jego jest niezłomne. Mała nadzieja pozostała na królu... lecz Batory mniej jeszcze do łagodności i ustępstw był skłonny.

Zamojski, przybywając do Krakowa, wiedział co go tu czekało i na co miał sięgotować. Drzwi się też nie zamkaly. Jedni przychodzili z aplauzem, chcąc mu się przypochlebić, co on surowo i zmarszczony przyjmował, drudzy — a tych było daleko więcej — biegli z błaganiem, ze strachem i argumentami przekonywającymi, że łagodność była konieczną. Zamojski nie odpowiadał, ani się tłumaczył.

Dla zmniejszenia nieco wrawy przeciwko królowi i sobie jeden tylko środek obmyślisł: skłonić wdowę Wapowską do instygowania przeciwko zabójcy męża.

Pamiętnem było dobrze, z jaką wytrwałością, nie dozwalając pogrzebać zwłok męskich, Wapowska je uparcie na zamek do króla wozila, domagając się pomsty... Od tego czasu nie zrzucając żaloby, — święta matrona, cała oddana dzieciom i pobożności, na nabożeństwach, postach i dobrych uczynkach spędzała życie sieroccy, któremu pamięć męża przyświecała.

Zdawać się więc mogło kanclerzowi, że teraz, korzystając ze zręczności, przysłuży się i Wapowska do potępienia gwałtownika.

Ale była to prawdziwie święta niewiasta. Wielka jej bolesć upłyngła ze Izami, miała czas ofiarować Bogu swe wdowieństwo, a teraz, gdy nieprzyjaciel leżał zwyciężony i pobity, nie chciała bezbronнемu zadawać ostatniego ciosu. Przebaczała mu po chrześcijańsku.

Odpowiedź jej na wezwanie brzmiała, iż teraz już ona krzywdy swej dochodzić nie będzie i pomszczenie jej Bogu oddaje.

Wszystko więc calem brzemieniem spaść miało na Zamojskiego.

Króla nie było w Krakowie. Hetman postanowił pod jakimkolwiek bądź pozorem przeciągnąć wykonanie, aby raz jeszcze odwołać się do Batorego i skłonić go może do łagodności. Pobiegły listy na Litwę.

Oblany krwią rannego sługi, młody Aleksander udał się z Piekar do marszałka, który miał być jego opiekunem. Tu zastał już Annę, która z ochmistrzynią swą przybiegła rzucić mu się do nóg, błagając, aby nie opuszczał ojca!

Anusia było od pierwszej chwili, gdy otrzymała wiadomość, w nieustającej gorączce. Chodziła jak nieprzytomna, powtarzając pocichu: Wojtaszek! Zamojski!

Z namiętnością niewieścią, z gwałtownością tej krwi właściwą, która w jej żyłach płynęła, zaciiskała usta, gryzła wargi, lży się jej puszczały z oczów i wołała pocichu: Zemsty! zemsty!

Marszałek nie mógł uspokoić dziewczęcia. Sam przerażony, ale zimny, myślał tylko, jak obrócić na korzyść rodziny nieszczęście, które ją spotykało.

Pytał sam siebie, czy być to mogło, aby potomek onych sławnych Zborowskich padł z ręki kata... Przychodziło mu na myśl, niestety, że ojciec ich rodziny zabił banitę Sanguszkę...

Los zdawał się na drugiem pokoleniu chcieć pomścić męża Halszki z Ostroga...

Jeżeli kniaź ze sławnego rodu mógł paść ofiarą tego prawa, na obcej ziemi, gdzie ono już wagi nie miało — dlaczegóżby oszczędzić miano Samuela, który wziętym został tam, gdzie się znajdować nie miał swobody, zwłaszcza, gdy na nim mścić się było można nietylko winy jego, ale całej rodziny, spisków i zamachów.

Listy Krzysztofa świadczyły przeciwko nim wszystkim. Móglże Jan, kasztelan gnieźnieński, zaważyć swoją wiernością i cnotą za trzech winowajców?

Marszałek starał się upewnić Anusię, że niebo i ziemia poruszają, aby Samuela ocalić.

— Leeż, dziecko moje, — rzekł — mamy nieprzyjaciół strasznych! Król sam stoi na ich czele, a za nim jest mściwy Zamojski, a za nimi cały tłum dworaków, zauszników, pochlebców. Zawichrzym kraj, podburzym szlachtę, wywołamy zjazdy, podniosą się krzyki; ale czy to pomoże, czy pogorszy; nastraszy, czy rozejatrzy — który to wie?

Anusia — dziecko, kobieta, nie rozumiała nawet, iżby nie zrobić nie można. Cała szlachta nietylko na Rusi, ale w Rzeczypospolitej podnieść się była powinna! Na Litwie mieli Chodkiewiczów, w Wielkiej Polsce Górków, w Krakowskim Spytków...

Palila się jej głowa.

— Zemsty! zemsty! — powtarzała sama do siebie.

Z Sandomierza padlszy naostatek do nóg marszałkowi, Anusia się kazala wieżę do Piekar, do Włodkowej. Zdało się jej, że ta siostra, ta ulubiona ojcu kobieta, lepiej ją zrozumieć gorącej pomóc jej potrafi, niż marszałek. Dowiedziała się razem, że kasztelana nie było, że na niego długo jeszcze czekać musieli, a podczaszy uciekł już za granicę, z obawy, aby na nim nie poszukiwano wyrazów listu, w których królowi uznania jego tytułu odmawiał (*Rex si hoc nomine dignus*).

Ta ucieczka, gdy ojca jej bronić było potrzeba, obrzala ją.

Wszyscy więc opuszczali nieszczęśliwego? — mówiła sobie, a więc ona jedna, słaba, biedna niewiasta, dziecko, mążnie stanie w jego obronie... Pojedzie na koniec świata, zburzy, co żyje, a naostatek pomści się za ojca!

Imię zbrodniarza Wojtaszka nie schodziło jej z ust.

— Na dworze królewskim jest! ale i ja tam się dostać potrafię, i tam go wyśledzę... zapłacę ludzi, znajdę zbójów... życie mu odjęć każę... Zginąć musi...

Napróżno stara ochmistrzyni, niewiasta, co się jeszcze z domu Spytków tu dostała i umiała modlić, chciała ją do modlitwy skłonić, do zwrócenia się ku

Bogu, — Anusia, inaczej wychowana przy ojcu, rachowała na siebie tylko.

Z tą gorączką przybyła do Pickar i łkając a krzycząc, rzuciła się na szyję wychodzącej naprzeciw niej Włodkowej.

Były to dwa zbliżone do siebie temperamenta. Wdowa także gorączkowała się, szalała, ale zarazem wśród nieustannego zajęcia sprawą wuja Samuela już była z nią obytą, już niemal zdala się być zobojętniałą... Codzień tylekroć powtarzała opowiadanie, iż jej spowszechniało; codzień tyle razy tu rozprawiano o grożącej Samuelowi śmierci, że i ta już była dla niej przewidzianą... a że Włodkowa przytem czynną być mogła, poruszała się, jeździła, pisała, krzyczała — prawie jej z tem było dobrze... Była w swoim żywiole...

Anusię oburzyło to niemal; ona nie mówić, ale czynią być chciała... Włodkowa nie widziała sposobu uczenia najmniejszego kroku. Jej rzeczą było pobudzać i nie dać usnąć obrońcom. Ale z tego, co dochodziło z Krakowa, już nie miała nadziei ocalenia.

Przy pierwszym spotkaniu Anna, posłyszawszy to wszystko, prawie do rozpaczki została przywiedzioną; chciała jechać do Krakowa, domagać się widzenia z ojcem; dowiedziała się, że nikogo nie dopuszczano do niego, nikomu z nim mówić, dostąpić nie dawano.

Wszystko, co uczyniono dotąd, Annie wydawało się niedostatecznym... oskarżała stryjów, gniewała się na rodzinę. Chciała jechać od dworu do dworu po krewnych i zmuszać ich do wystąpienia.

Prawo! Anusia nie wiedziała o żadnym prawie na świecie, któreby ojcu jej życie odjąć dozwalało! Stoszem, szal to był dziecka, ale tak gwałtowny, że go nic pohamować nie mogło.

Nazajutrz Włodkowa, zaledwie powstawszy, pobiegła do Anusi. W łóżku już jej nie było, nie było we dworze; kazała powiedzieć, że jedzie do kanclerza.

— Oczy mu wydrę! — wołała, siadając do kolebki z ochmistrzynią.

Włodkowa chciała się naprzód puścić w pogon za

nią, ale goście ją najechali, a wreszcie Anusi powstrzymać żadna już ludzka siła nie zdolała...

Późno wieczorem zatoczyła się powracająca z Krakowa kolebką. Anna wysiadła z niej blada i zapłakana.

Kanclerz przyjęć jej nie chciał, odprawiono ją od progu! Do królowej dostąpić nie mogła. Podli ludzie uciekali od niej i nikt a nikt nie chciał być pomocą. Zabijałyby, — gdyby mogła. Łzy toczyły się po twarzycze... nie wiedziała już, co miała począć.

W Krakowie, na chwilę stanawszy u wrót pustego domu na Franciszkańskiej ulicy, dowiedziała się tu tylko, że w nim nikogo nie było, nie spodziewano się nikogo. Kasztelan nierychło mógł przybyć.

Tu ją spotkało to, co biedne dziewczę dobiło.

Stała przed wrotami głośno lamentując i krzycząc na służbę, która stała obojętna i zimna, gdy ujrzała zbliżającego się ku sobie ulicą mnicha w habicie białym w czarnym plaszu.

Z twarzy żółtej i czarnych oczów poznała w nim o. Czesława.

Dominikanin stanął zbliska i przysłuchując się wyrzekaniom Anny, głową potrząsał, a usta drgały mu uśmiechem nielitościwie szyderskim. Zwróciła się ku niemu dziewczyna, mierząc go oczyma rozplomienionymi.

O. Czesław nie ustępował.

— A co? — zawołał nagłos, jakby stał na kazalnicy. — Przyszła na was, na ród bezbożny — pomsty Bożej godzina... Bolejcie i jęcziecie... ale to mało za zbrodnie wasze! Ród wasz przepaść, imię zginąć, gniazda wasze zniszczone być powinny! Nie zostanie z was śladu, a z domów waszych kamienia na kamieniu... Poleje się krew za krew, łzy za łzy... bo Bóg jest sprawiedliwym a wszechmocna jest ręka Jego, i upokorzy on mocnych i potężnych, a podniesie pokornych i uciśnionych...

To mówiąc, mniem rzucił ręką, jakby pochodnie anathemy eiskał z kazalnicy — i nie słuchając krzyku omdlanej Anusi, poszedł dalej obojętny.

IV.

Chociaż w zamku języka dostać było trudno, bo tam się nikt nie mógł przecisnąć, a straż była bardzo pilna, wiedziano jednak na mieście, że Samuel Zborowski miał za nieodstępnych towarzyszów i stróżów dwóch najwierniejszych sług hetmana: rozmistrza Mroczka, który go pojmał, i Sernego, który w Piekarach strzelał do dworu dla uczynienia popłochu. Siedzieli oni z nim razem na burgrabstwie zamkowem u Przyłęckiego, a Samuela rzadko z bocznej komory, w której był zamknięty, wypuszczano nawet do średniej izby, przestrонniejszej nieco.

Dokola burgrabstwa, ponieważ Zamojski mógł się obawiać wszystkiego, nawet gwałtownego jakiegoś najsia na zamek, liczono niemniej nad kilkuset szarpać z ruszniami i ręczną bronią.

Mroczek i Serny, żołnierze, ludzie mężni, nie gorsi od drugich, ale małego i biednego stanu, jak wszyscy im podobni, nie mogli się temu oprzeć, aby poniżonego mążnego pana, którego w rękach mieli, z którym się im, jak chcieli, wolno było obchodzić, nie upokarzali i nie znęcali się nad nim. Rzadka to rzecz, aby mały człowiek poszanował w upadku niegdyś potężniejszego od siebie. Jest coś niepoczesiowego w naturze ludzkiej, że taki biedny człek niemal się czuje zwycięzcą, gdy los mu da w ręce takiego, który nad nim górował.

Mroczek też i Serny obchodzili się z tym potomkiem senatorów i wojewodów, z tym Zborowskim, którego rodzina liczyła się do najstarszych i najpotężniejszych niegdyś w Rzeczypospolitej, jak z pospolitym jakimś włóczęgą lub zbrodniarzem... Każde ich słowo było urągowiskiem... Dawali mu czuć swą siłę z tą butą gminu, z tem grubjaństwem żołnierskiem, które dumnego i gwałtownego Samuela musiało do rozpaczki przyprawdać.

Ale wprzedce Zborowski pojął, że, dając im poznać obrazę i cierpienie, czyniłby im rozkosz... Męczyć go właśnie chcieli, on stał się zimnym i obojętnym nau-

myślne. Kosztowało go to, lecz winien był godnością własną, aby nie uczuć razów, jakie mu zadawano. Znosił je z obojętnością kamienną; gdy dwaj rotmistrze umyślnie przy nim rozpoczynali rozmowy, które go mogły drażnić, patrzał gdzie indziej i zdawał się głuchy. Nie rozbrajało to gburów.

Oprócz groźby końca, który Samuel przewidywał musiał, wiedząc, co go czeka, a nie spodziewając się litości, — tymczasem prawdziwe ponosił męczeństwo.

Gdzie naowczas myśli jego błądzili... co doświadczał? — tego nawet ci oprawcy odgadnąć nie potrafili. Siadywał na łóżu, lecho zasłanem, calemi godzinami, sparty na ręku i zadumanym. Wyzywany umyślnie do rozmowy, bo Mroczek rad był coś z niego wyciągnąć, aby zanieść helmanowi, Zborowski dumnie i krótko, albo weale nie odpowiadał.

Pana w nim czuć musieli, choć zszedł na najendzniejszego z więźniów. Rzadko o co prosił. Nawykły w potrzebie żyć kawałkiem suchego chleba i wodą, nie dopominał się niczego.

Z rozmów ich dowiadyszał się czasem rzeczy, które go obchodziły — zawsze najgorszych i najprzykrzejszych — ale nie dawał znaku, aby je wiele ważył. Pytać nie chciał, bo wiedział, że albuby go zbyto szyderstwem, lub odpowiedziano pogrózką. Widzieć się nie mógł z nikim.

— Co się działo z Olesiem, co z Anusią? Wiedział o przywiązaniu córki do siebie, znał jej nieunoszoną gwałtowność, był pewnym, że się narażała dla niego, ale co ona biedna poradzić mogła?

Marszałek miał się dzieci mi zaopiekować, o tem nie wątpił Samuel, ale nim? tego nie był pewnym! Wreszcie on może krok jakiby uczynił, ale Krzychnik? Ten musiał ujżeć, — domyślał się słusznie; ten aniby chciał, ani zresztą potrafił nie zrobić. Kto wie jeszcze, co z nim było miało, jeśli nie zbiegł pod opiekę cesarza.

Dzień i noc myśli, z przeszłości wysnute, wily mu się po głowie. — Tak więc kończyło się to bujne, rozhukane życie, blasków pełne i ciemności... legł w walce

z kanclerzem!... Wszystkie krwawe czyny, wszystkie gwałty, jakie popełnił, co tylko miał sobie do wyrzucenia, stawało przed nim... Jak widma, przychodzili doń Wapowski, Trepka... cały szereg trupów, a za nimi cała ciżba sierot i wdów. Słyszał powtarzające się krzyki, dawno zapomniane... ostatni jęk przebitego oszczepelem Trepki, płacz Wapowskiej, śpiew zdrajcy Wojtaszka, nawoływanie i świst Borowskiego na sokoły! Nic, nic już powrócić nie miało... Miecz katowski czuł na szyi, zimne dotknięcie jego, a potem?...

Ze starej wiary ojców pozostały w nim ledwie szczątki... do kościoła nie należała... zaciągnął się do nowych szeregów... a teraz nie wiedział, ani jak, ani do kogo się modlić? Poza tem życiem, u którego skraju stał, była jakaś przepaść ciemna i nic w niej dojrzeć nie mógł. Próżnia, mroki, milczenie, nicość...

Odwracał się od tego obrazu. Wracły ziemskie przypomnienia, troska o los dzieci... a ta biedna Włodkowa, której dom zakrwawiono?

Czasem przychodziła na myśl potęga domów, z którymi Zborowscy byli połączeni. Przecież szlachta i panowie, nawet pod panowaniem „Wilczych zębów” coś znaczyli; przecież Samuel-banita nie przestał być Zborowskim? Wszystkie ziemie powstać były powinny... cała szlachta upomnieć się o niego, zastawić się, nie dopuścić!

— Nie, — myślał czasem — on się nie waży podnieść miecza na mnie; wie, że światby oburzył na siebie. Znają nas na dworze cesarskim... imię nasze głośne, mamy komu przekazać zemstę! Nie, nie! nie waży się... Puścić musi!

Niekiedy marzyło mu się znowu, iż jego przyjaciele gwałtem go odbić mogli i byli powinni.

Na zamku nie trzymano przecież tak wielkiej załogi, dosyć było gromadki śmiałków, napadu niespodzianego... Miał dawniej przyjaciół tyłu, a teraz jego sprawa była razem sprawą całej szlachty? Na króla cała Rzeczpospolita narzekała, Zamojski dokuczył, to mogła być ostatnia kropla puharu przepchnionego.

Trzymali go długo, dzień za dniem uchodził, a mogli go stracić zaraz po ujęciu, więc to znak, iż może sprawę Zborowskich na sejm podać miało. Naówczas był pewien ocalenia!

Tem się pocieszał; a niejeden on zwłokę za znak wahania się pomyślny dla Samuela być sądził. Tego zdania było wielu innych. Rozumiano, że banita mógł być natychmiast po uchwyceniu karany śmiercią; jeżeli tego nie spełniono, snać łaskawszym chciał być kanclerz, bo się obawiał.

Lecz wszystkie te wnioski były fałszywe. Śmierć została postanowioną, ale Zamojski sam wahał się jeszcze. Radby był przebaczyły i folgował... chciał się jeszcze do króla odwołać...

Pisać nie staczyło, jechać nie mógł, bo i sądy i rządy na nim tu spoczywały — cóż uczynić miał?

Najrozumiejszy z jego domowników, sekretarz Heidenstein, wyprawiony został potajemnie; kazano mu co najspieszniej powracać.

Heidenstein znał myśli kanclerza najlepiej, był doń przywiązany, rozumiał, a teraz... odczuwał i przeczuwał wszystko, co za sobą sprawa Zborowskich ciągnęła. Wartoż było sobie nią nowe trudności tworzyć na przyszłość, gdy i tak liczba ich przechodziła miarę?

Heidenstein miał w Grodnie lub gdziekolwiekby króla mógł pochwycić, skłonić do łagodności, prosić o powolenie, żądać ułaskawienia. Niewiele się spodziewał po tym kroku Zamojski, ale dla uspokojenia sumienia czuł się obowiązanym uczynić go. Heidenstein dniem i nocą biegł ku Litwie.

W Grodnie na starym zamku, w izbie, którejby łada rada miejska nie chciała na posiedzenia, na ławie ledwie pokrytej, zastał Heidenstein pana z chmurnem czołem, otoczonego psami, wśród liczniego swego węgierskiego dworu.

Witał go już tak, że się nic dobrego spodziewać nie było można.

— A co? — spytał król po łacinie — dał głowę?

— Kto? — spytał posłaniec zmieszany.

— Zdrajca, co czyhał na moje życie, — odparł król — Zborowski!

Zawahał się nieco Heidenstein.

— Najjaśniejszy panie, — rzekł po namyśle — właśnie ja przybywam do was w tej sprawie!

— Ale ona jest skończona! Kanclerz wie moją wolę, — odparł król — tu już do omówienia nic niema. Ja nie zmienię postanowienia!

— Kanclerz kazał mi jednak przedstawić jeszcze ustnie waszej królewskiej mości — rzekł poseł.

— Co? że się obawia Zborowskich? wrzawy? krzyku? pomawiania o okrucieństwo? Wszystko to są marne wymówki: ten człowiek musi głowę nałożyć... dowody zdrady są jawne!

Heidenstein sklonił głowę.

— Kanclerz mi polecił — odezwał się spokojnie — przedstawić waszej królewskiej mości, że tu nie idzie o Samuela Zborowskiego; malkontenci, których partią cesarska płaci, radzi będą skorzystać z wypadku, wyzyskają, — kanclerza i waszą królewską mość uczynią tyranami, podburzą kraj, sejm przyszły uczynią nadzwyczaj niespokojnym, słowem, łaskawość tu byłaby rachubą... kanclerz za nią przemawia.

Batory, który siedział z bardzo pochmurnem obliczem, namarszczył się bardziej jeszcze, warga dolna mu zaczynała drżeć, co było znakiem gniewu i niecierpliwości.

— Zamojski żąda ode mnie rzeczy niemożliwych — zawałał. — Com raz powiedział, nie zmieniam. Słowo królewskie powinno być jedno: tak, lub nie! Raz wyreczone zostaje jak fatum nieubłaganem. Ten człowiek powinien zginąć! Prawo tego chce. Ja i kanclerz jesteśmy stróżami prawa!

Na chwilę król przestał mówić, umoczył usta w kubku jakiegoś napoju, który stał przed nim.

— Czytałeś ich listy? — począł, zwracając się do Heidensteina. — Znasz ich sprawę? Oni mnie struci, hetmana zabić chcieli, zasadzili się na mnie z Ciołkiem w Krakowie, szukali trucizny! Zobacz, jakiem imieniem

mnie zowią. Dla nich ja nawet królem nie jestem! — Nie! nie! To wszystko przebaczyć byłoby niedarowaną słabością. Niepodobieństwem jest. Nie mogę! nie chcę! Ukarać śmiercią! ukarać! Prawo karze banitę śmiercią, nie my. Ten buntownik jeździł na Niż Kozaków przeciwko mnie ściągać, buntować Wołoszę... brat na dworze cesarza. Otaczają mnie szpiegami. Kto wie, czy w tej chwili przekupiony sluga nie gotuje dla mnie trucizny, a ty chcesz, ażebym ja im przebaczył. Nigdy!

Poruszony król zaczął się przechadzać żywo i słychać było tylko jego oddech ciężki.

Heidenstein stał smutny.

— Wszystko to prawda, najjaśniejszy panie, — odezwał się — ale każda rzecz ma dwie strony. Kto wie, czy wspaniałomyślne przebaczenie winy, a przynajmniej złagodzenie kary, nie byłoby na dobie. Można go w wieży osadzić do sejmu, a sejm...

— Sejm, jeśli będzie sądził, to Krzysztofa, a nie jego — przerwał król. — Ten osądzony jest. Ściąć go, tego zbóję, nic więcej, inaczej u was w tej Polsce nigdy nie będzie karności, ładu i siły. Imponuje wam imię sławne, ród... ale prawo zna tylko człowieka i winowajcę!

Coraz pośpieszniej król ciągnął dalej:

— Niech mówią, co chcą na mnie, — żem wilk, krwi checiwy i okrutny, żem tyran (ruszył ramionami), że nie mam litości... ale niech się boją i słuchają. Inaczejby mi nie pozostało nic, tylko zrzucić tę koronę precz, a samemu powracać do Siedmiogrodu.

— Lecz, miłośczy królu, — rzekł Heidenstein — czyż taka jest waga tego człowieka i wypadku, aby na nim koniecznie przykład dawać? Hetman się wzdryga, szczególnie dlatego, iż musiał go sam pochwycić; wszystko więc spadnie na niego, na osobistą niechęć i zemstę.

— I Zamojski, on, boi się gawiedzi, która będzie nań ciskała kamieniami i blotem? — zawołał król. — On gardzić nią powinien, jak ja!

— Nie, Heidenstein! — dodał Batory, zwracając

się bliżej ku niemu — naprzóźnie usiłuj mnie przekonać. Wiem, że argumentów znajdziesz siłę za *clementią*, ale to cnota, której ja praktykować nie mogę. Żelaznej ręki potrzeba.

Heidensteinowi trudno się było nawet odezwać. Zaledwie usta otwierał, król mu przerywał.

— Ściąć go, dać go ściąć, — powtórzył — a co przedzej, to lepiej. Zamojski niepotrzebnie przeciągnął, niepotrzebnie mnie pytał. Tymczasem umysły się niepokoją, wzmagają się niechęć w kraju; wyobrażają sobie, iż coś uczynić potrafią, to ich uzuchwala... a pofolgujemy ten raz, wszystko przepadło! Nie my tu panami, tylko oni.

Westchnął poseł.

— Nie dosyć na tem, — dodał król — ja podczaszem Krzysztofowi nie daruję. On stanie przed sądem sejmowym. Mam listy, — jest królobójca, a jeśli nie spelił zamiaru, nie zbywało mu na chęci.

I z goryczą, z gniewem powtórzył Batory:

— Ha... *Rex, si hoc nomine dignus!* Byłbym w istocie niegodnym imienia króla, gdybym na krok im ustąpił. Krzysztof da głowę!

— Niema go w kraju, najjaśniejszy panie, — odezwał się poseł — jest na Morawie w państwie cesarza i mieni się jego poddanym.

— Ale był moim — przerwał król — i odpowie za to, co tu popelnił. Nie będziemy go mieli, skażemy na banicję, jak brata, a ukaże się li w krajach naszych, spotka go los Samuelowy.

Przeciwko Janowi nie mam nic — dodał — oni jego oszukiwali, on o niczem nie wiedział, ale marszałek należał do trójcy i jeśli ujdzie, niech się ma na bacznosci. Uchwycę li go na uczynku, nie daruję, jak tamtym dwom.

— Niestety, — odezwał się Zamojskiego posłaniec — wszyscy oni trzej należą do rodziny, połączonej z wielu domami znacznemi w Koronie i na Litwie; zjedna to nam nieprzyjaciół.

— Jawnych! — odparł Batory — tem lepiej! Do-

tąd byli nimi skrycie. Owszem, niech powstaną, stawię im czoło. Kanclerz, stojąc u mego boku, wiedział, co go czekało i że u mnie przebaczenia niema. Ani tchórzem, ani słabym nie chcę być; tak! wolę być okrutnym... a nawet w tym razie nie mam litości! nie mam... budzili byście ją naprzóźno, gniew tylko się wzmoże.

Po krótkiem milczeniu zafrasowany Heidenstein rzekł cicho:

— Wróćwię z niczem?

— Z rozkazem, aby Zamojski nie zwlekał — odparł Batory. — Kocha on ten swój kraj, niechże się nie wa-ha wypiec zjadliwej rany... inaczej on nigdy zdrowym nie będzie i zginie, rozerwany i bezsilny.

To mówiąc, król drżał z gniewu, który go do szpiku kości przejmował.

Chciał Heidensteinowi wskazać, aby przestał nalegań w sprawie Zborowskich i nagle zwrócił rozmowę i pytanie na wojskowe zaciągi. Wspomniał o poselstwie tatarskiem z pogardą, zapytał o nowiny z Rzymu.

Na wszystko to nikt lepiej nie mógł odpowiedzieć nad Heidensteina, który wszystkie papiery kanclerskie miał w ręku i listy czytał, bo na nie w imieniu Zamojskiego odpowiadał. Czasem tylko dawny uczeń Padewskiej *almae matris* łacinę jego nieznacznie poprawił.

Naostatek król zapytał, czy długo tu zabawić myśli.

— Miłościwy panie, jak najkrócej zostanę a próżnemi rękami, choć lekko mi napozór powracać będzie, niestety! — nie zaspokoję kanclerza!

— Nie mogę ulec! — odparł Batory. — Ci ludzie nie warci są litości. Sam kanclerz pisał wczora, że Samuel do niezmiernej liczby zabójstw i zbrodni się przyznaje. Zasłużył na śmierć... niema dla niego litości.

— Kanclerz się jej domaga dla siebie — rzekł Heidenstein.

— Żał mi, że nie upadając się, nie mogę go zaspokoić — przerwał Batory, suknię na sobie targając niecierpliwie. — Jestem królem, jestem sędzią, wyobrażam sprawiedliwość na ziemi, a nie miłosierdzie. Powiedz mu, niech go da ściąć, nie chce li mnie obrazić i rozgnie-

wać. Jest tego potrzeba, konieczność. Niech zginie! Mówiłem i powtarzam to, tylko zdechły pies nie kąsa! Niech zdycha!

Słuchał już Heidenstein, niemal przerażony tym gwałtownym wybuchem, nie śmiał się odezwać, widział, że usiłowania jego, zamiast ułagodzić, rozjastrzały tylko króla. Spodziewać się w nim zmiany usposobienia było to nie znać go; rachować na czyjkolwiek wpływ, — złudzeniemby było. Nie widział zresztą nikogo, oprócz kilku duchownych, którymby mógł się zwierzyć, a tych król zażywał do swych celów i spraw politycznych, — ale się przez nich kierować nie dawał.

Jezuici, o których wpływie mówiono naówczas wiele, byli też w tej silnej dloni tylko narzędziem. Używał ich w sprawie z Moskwą, osadzał ich kolegia, dał przywilej na akademję, ale nie widział w tem nic więcej, nad poninożenie oświaty, której potrzebę widział wielką; oni mu ją przynosili, — nie pytał więcej! Sprawy wiary zostawał sumieniu pojedyńczych ludzi i kierunkowi Kościoła.

Obejrzał się po dworze króla i urzędnikach, jacy przy nim byli, Heidenstein zwałpił, aby co więcej mógł przedsięwziąć jeszcze. Chciał jednak, żegnając Batorego, uczynić jeszcze próbę i do niej się przygotował.

Król naznaczył mu dla odebrania listów do kancelra poobiednią godzinę. Gdy przybył, znalazł już listy gotowe, a Batorego uspokojonego znacznie. Wręczył mu je król i kazał pozdrowić Zamojskiego.

— Powiedz mu,—odezwał się—że ja się tu najlepiej zabawiam na Litwie. Zwierza jest poddostatkiem, psiarnię moją księże Lignicki zasilił nowemi ogarami, ptaki mi przysłano z Moskwy, — myślistwo, dzięki moim ludziom, doskonale... mogę tu na chwilę o tych troskach zapomnieć, które mnie w Krakowie jedzą!

— Miłościwy panie, dzięki za to Bogu — rzekł Heidenstein. — Hetman cieszyć się będzie, ale uczyńcie też cokolwiek dla niego. On dźwiga wszystkie brzemię na

ramionach, a sprawą ta nieszczęsna przymnoży mu
trosk i nieprzyjaciół.

— Wiem o tem, — odparł Batory — ale ich i mnie
przyczyni. Nie mogę nic... nie przebaczę! Zuchwałstwo
psów tych, co na mnie szczekały lat tyle, raz trzeba
ukrócić. Powiedz hetmanowi, — przebaczenia dla nich
niema i nie będzie!

Z takim poselstwem i podobnie brzmiącemi listy
wrócił Heidenstein, gdy tymczasem w Krakowie, z dnia
na dzień, badano powoli Samuela i ściągano wykona-
nie dekretu, do którego był już przygotowanym.

Mroczek, Serny i Urowiecki nieustannie mu to
przypominali, że zginąć musi i zginie.

Zamojski z wielkim niepokojem oczekiwał odpo-
wiedzi króla. Przybył w końcu, z niezmiernym pośpie-
chem podróż odbywszy, Heidensten, a wnijście jego
i milczące oddawanie listów mówiło już, co przywoził,
pytać nawet nie potrzebował hetmana.

— Król więc — zapytał, nie łamiąc pieczęci — król
więc się ublać nie da? Widzę to po was.

Zmilczał Heidenstein.

— Małom się spodziewał — rzekł. — Tak, kielich
potrzeba dopić do dna. Jest moim dobroczyńca, słu-
szna więc, abym za niego dziś i w przyszłości cierpiał.
Obwinią o to okrucieństwo nie króla, ale mnie, to pew-
na. Jabym był postąpił może inaczej. Batory ma słu-
szność z pewnych względów, iż się ublać nie daje,
lecz przymnaża sobie nienawiści i walkę zajątrza! Wo-
la Boża. Tak więc Samuel z mojej ręki zginąć musi!

Westchnął i wziął się czytać listy.

Zwlekać teraz i przeciągać było naprzótno męczar-
nię skazanego i własną przedłużać, ale Samuela uspo-
sobienie zmieniło się było w ostatnich dniach. Stracił
nadzieję, upadł na duchu; przychodziły godziny cynicz-
nych, dziwnych zeznań, w których się przed tymi, któ-
rych za siepaczy uważał, zwierzał ze swej przeszłości,
opowiadał o szaleństwach. Wiele z tych powieści rzu-
cało światło na wypadki, dawało poznać braci i ich
usposobienia; nie można więc było przyśpieszyć speł-

nienia kary, bo Mroczek wielu się jeszcze rzeczy dowieǳieć obiecywał.

Wyciągano go na słowo różnymi sposoby, czasami niedowierzaniem, niekiedy szyderstwem, to znowu łagodnością.

Samuel, jak gdyby już nic do stracenia nie miał, nie tańił się z niczem. Dziwna obojętność owładała nim czasami, drętwiał godzinami i zdawał się na wszystko nieczuły.

W mieście tymczasem, nie mówiąc już o tem, co się po kraju działo, panował niepokój i zdania były podzielone. Utrzymywali jedni, że nie mogą Zborowskiego ściąć i muszą mu folgować; drudzy co godzina oczekiwali wiadomości, iż wyrok został spełniony.

W domu na Franciszkańskiej ulicy, tak w pierwszych dniach spokojnym, teraz pełno było i tłumnie. Nie wahał się przybyć marszałek, który na sobie nie czuł żadnej jawniej winy, za których go pociągnąć było można. Siedziała Anna ze swą ochmistrzynią, przyjeżdżała Włodkowa, gromadziły się tłumy szlachty i dawnych sług domu Zborowskich, którym się zdało, że przytomnością swą na coś się przydać mogli.

Wprawdzie ruch ten i zajęcie zwracały uwagę na zamku, lecz obawiać się nie miano powodu. Kanclerz miał przemagającą siłę zbrojną i czuwał, a Zborowscy, mimo wszelkich usiłowań i całej swej zręczności, nawet o tem, co się w izbie Samuela działo, mało co wieǳieć mogli.

Marszałkowi donoszono, co poczęści prawdą było, iż na duchu upadł bardzo. Anusia czasem całymi dniami u wrót zamkowych czatowała, udawało się jej nawet za kobietami dworu królowej wcisnąć czasem na zamek i błądzić po podwórkach, ale tu ani przemówić, ani się dowiedzieć niczego nie mogła, a u drzwi burgrabstwa stali żołnierze z halabardami, którzy nikomu nawet bliżej przystąpić nie dawali. Okna tych izb, w których Samuel siadywał, wychodziły ku wałom, były umieszczone wysoko, a jemu się zbliżyć do nich czuwający stróże nie dawali.

Jeżeli więc Anusia, rzuciwszy kilka pytań, czasem popartych datkiem, czego się dowiedziała, było to tak nieznaczącem, iż wnosić nic nie dozwalało. Wiedziała tylko na pewno, że żył jeszcze.

Obok tej troskliwości o ojca, dziewczę miało drugą dojmującą troskę. Poprzysięgły zemstę Wojtaszkowi: dojść, gdzie się on znajdował, obmyśleć środki pomszczenia się było dla niej obowiązkiem.

— Ojciec zginie przez niego, — mówiła rozogniona — lecz ten zdrajca podły musi życiem przyplacić!

Nie zwierzała się z tem nikomu, ale stara ochmiestrzyni, strzegąca tylko bezpieczeństwa jej, widziała, jak uparcie szła ciągle do celu.

Rozpatrywania się jej szły na karb sprawy ojca, chociaż badała dworaków o Wojtaszka... i pytania jej natrętne nie pozostały bez skutku. Wiedziała już, iż Wojtaszek był przy muzyce zawsze i nigdy się prawie z zamku nie oddalał, że mieszkał też i noc spędzał na zamku z innymi, a na lutni mało kiedy się popisywał, bo nie było go tu słuchać komu.

Parę razy niepoznana, widziała go przemykającego się przez podwórza. Jeden ze sług, przed którym bardzo śpiew Wojtaszkowy chwaliła, powiedział jej, że onby mógł z nim chodzić na miasto, ale od czasu, jak go raz słudzy pana Stadnickiego pochwycili, obawiał się wyjść za bramę.

— Teraz się już przecie niema czego obawiać — odpowiedziała słudze — nauczcie go, aby korzystał z tego, a gdy go zażąдают na miasto, nie wahaj się iść. Kto dziś będzie myślał o nim.

Słowa te nie zostały stracone. Wojtaszek też sam miarkował, że był bezpieczniejszym. Lepsze czasy dla niego nastąć miały, bo, byle się dał słyszeć i poznać, mieszczańie i goszcząca w mieście szlachta chętnieby go sobie sprowadzała.

Wzięcie Samuela i gotujące się straceńie jego na Wojtaszku nie czyniło wrażenia innego, oprócz dawno upragnionej, a nareszcie doczekanej zemsty.

— Przyszła na niego zła godzina! — mówił. — Teraz ja wolniej odetchnę!

Czekał też lutnistka wiadomości, że już się wszystko skończyło z niecierpliwością złośliwą.

Wielka boleść nie przeszkadziła Anusi gotować tej zemsty, która na chwilę jej z myśl nie schodziła. Zwieńczała się z tego Włodkowej. Z suchimi oczyma szeptała jej niemal za każdym widzeniem się:

— Ojca ja nie ocale, nie! Ludzie są podli, opuścili go wszyscy! Stryjowie też krzyczą, ale nic nie robią i o sobie myślą. Marszałek powiada: — Samuela już niema na świecie, trzeba myśleć o Zborowskich! Tak, ja też biedna z Olesiem nie zdąlam nic. Słudzy jego płaczą, jak ja... Kanclerz ma kilkuset ludzi z półhakami na straży. Ojca ja nie ocale, ale pomszczę...o, pomszczę!

— Ty? na kim? — pytała przestraszona Włodkowa.

— Na zdrajcy, na tym psie Wojtaszku, na tym Judasz, który nas sprzedał kanclerzowi — mówiła Anusia... — Posprzedawałam moje kanaki, pierścionki, spinki, oddam wszystko do ostatniej koszuli, ale krew za krew!

Włodkowa patrzyła na nią naprzemiany to ze strachem, to z politowaniem, to z niewiarą.

— Co ty pleciesz, Anusiu!

— Nie plotę, wiem, co mówię — przerywało dziewczę. — On zginąć musi!

Siostra nie brała tego za prawdę, ściskała ją i uspokoić się starała, ale Anusi od myсли tej nic odwieść nie mogło, a była rodzoną córką swego ojca!

Gdy wzięła co do serca, upajała się tem do szalu. Miłość ku ojcu utrzymywała ją ciągle i stale w tej myсли. Cały plan swój miala osnuty. Starzy słudzy w domu na Franciszkańskiej ulicy, opłacani przez nią, ofiarowali się z pomocą chętną. Wszyscy oni nienawidzili zdawna pochlebcy i faworyta, Wojtaszka.

Sciągnąć go tylko było potrzeba na miasto do jakie-

goś ustronnego domu, a starczyło kilku pachołków, aby go zamordować.

Anusia mówiła o tem tak zimno, tak spokojnie, jak by szło o dopełnienie najprostszej w świecie rzeczy; dla niej bo zemsta za krew ojca taką się wydawała.

Oprócz Włodkowej, nie zwierzała się z tego nikomu, a sługi obsypywała pieniędzmi i rozogniała słowami i łzami. Wszyscy oni poprzysięgali, że lutnistę im nie ujdzie.

Marszałek, chociaż żadnej nie miał nadziei, aby brata mógł uratować, nie przestawał jawnie starać się, chodzić, pisać i prosić o pomoc kogo tylko mógł pochwycić z bliższych rodzinie. Z jego naprawy jeździli do kanclerza z wymówkami i błaganiem kasztelana Jordanowa z mnogim dworem swych przyjaciół, Piotr Zborowski, Zbigniew Ossoliński i kilku z tej rodziny Stadnickich, ilu ich było, z wyjątkiem Stanisława, wojewody wileńskiego, domagając się, aby sprawa na sejm była wniesioną, a nie z dekretu banicji rozstrzygniętą.

Kanclerz wszystkich przyjmował jednakowo, mówiąc, że nie może nic, bo to prawo samo rozkazuje, a on tylko spełnienia jego pilnować ma obowiązek. Ks. biskupowi krakowskiemu otwarcie wyznał, że królewską też wolą było, aby winowajca zuchwały, który się i na jego życie odgrażała, dla przykładu drugim został ukarany.

Łamał ręce biskup, przewidując, że król z tej surowości pozytku mieć nie będzie, lecz Zamojski więcej już nic uczynić nie mógł.

Takie było wogóle usposobienie niemal całego narodu, iż Samuela, którego większość potępiała niedawno, raczej ocalonym, niż ukaranym widzieć chciano.

Surowość króla przestraszała.

Może, gdyby przebaczył, wołanoby przeciwko niemu za bezkarność, naganianoby powolność, ale teraz ganiono bezlitośną surowość.

Przyczyniało się do tego przewidywanie burzy i rozdwojenia w narodzie.

Nieprzyjaciele Samuela nawet widzieli w nim szlachcica, męża imienia znacznego, który miał ginąć, jak prosty zloczyńca, cocalemu stanowi szlacheckiemu czyniło zakalę. Nie godziło się dla potomka takiego rodu osobnego zwołać sądu i dowieść mu winy? Banicja była tylko w oczach większości pozorem, gdyż przez długie lata wcale z niej nie korzystano.

Wszędzie od dworów szlachty, do browarów miejskich, w których nad kuflami piwa siedziało mieszkańców i rzemieślnicy, rozprawiano o Samuelu, opowiadano jego bohaterstwa na Niżu i gwałty, popełniane w domu. Kraków sam widział ich niemal.

Gawiedź jedna znajdowała, że król był sprawiedliwym i nie powinien przebaczać, druga się w nim obawiała tyrana.

— A co będzie z nami, gdy mu który choć palca zakrzywi, kiedy on takiej szlachcie nie folguje?

A z kazalnic u dominikanów ojciec Czesław grzmiał i piorunował przeciwko zepsuci obyczajów i rozpuście, ukazując, że przedżej czy później na najdumniejsze głowy spadają pioruny i najwznióslejsze dęby gruchoczą! Malował on występnego łotra tak żywemi barwami, że każdy ze słuchaczów poznawał w nim z łatwością tego więźnia, który na zamku cekał wybicia ostatniej godziny.

V.

Wlokły się te dni męczeńskie, stając się Samuelowi wiekami. Niepewien jutra, trwożył się, szukając oznajmienia jego na twarzach oprawców. Ale obejście się z nim Mroczka, Sernego, Urowieckiego było tak niezmiennie jedne, że z niego się nic domyślać nie mógł, oprócz, że żadnej, a żadnej nie było dla niego nadziei.

Z brutalnością żołnierza mówili mu szydersko:

— Nie durz się, Samusiu, nadaremnie. Głowa twoja musi spaść...

Zborowski przyjmował to milczeniem obojętnem napozór, ale kilkanaście dni takiego dusznego nękania nawet silnego, jak on, złamać w końcu musiało Każdy ruch żywski na burgrabstwie, halas, brzęk kluczów, głośna rozmowa Urowieckiego ze stróżami poruszały go i zdawały się coś zwiastować.

Po takim strachu gwałtownym, który w sobie tacić usiłował, popadał w apatję i nieczułość, wracał do swych dumań o przeszłości. Oswajał się z tą myślą o śmierci, a chciał tylko ponieść ją rycersko, nie drgnąwszy.

Zawczasu przychodziły mu myśli dzikie. Ozwał się raz do Mroczka, pokazując mu sztyłą chustę jedwabną, bardzo piękną, którą miał w podarunku od chana tatarskiego.

— Mroczku mój, zrób ty mi jedną łaskę, choć jej u waszeci nie mam. Widzisz oto tu sztyłą chustę? Proszę ja ciebie i zaklinam, jakoś szlachcie polski: gdy mi kat głowę utnie, umocz ją we krwi mojej i oddaj synowi, Aleksandrowi, niechaj ją nosi i pamięta, aby pomyścił pamięć ojcowską.

Mroczek zmilczał i głową tylko poruszył.

— Słowo mi daj!

Przycięnięty rotmistrz wyjąkał półgębkiem przyrzeczenie.

Serny, on i Samuel nieraz, gdy siedzieli w komorze długo milczący, ziewali z nudów... więc straż pierwsza rozpoczęła rozmowę, która innego czasu tonem i formą byłaby Zborowskiego oburzała, ale teraz skazany musiał się widzieć niemal równym siepaczom. Oni z nim obchodzili się bez najmniejszego na przyszłość względu.

Mroczek sobie szczególnie pozwalał.

— Co ty, Samusiu, skarzyć się jeszcze będziesz, albo co, że ci leb zetną? A mało tyś ich porąbał i w śmierć posiekał? he? policzno się?

Zborowski, nie burząc się wcale, powolnie liczył na

palcach. Mruczenia jego dosłyszeć nie było można, ale jakby sam dla siebie wyliczał zkolei, obojętnie nazwiska jedne po drugich. Mroczek i Serny nachylali się, aby posłyszeć... nie zwałał na nich.

Ponieważ wiele z tych historyj Samuelowych z rozgłosu znanych było, pytali go czasem o jedną z nich.

O Włochu, którego miodem posmarowawszy, dał niedźwiedziowi na pastwę, rozpowiadał im tak spokojnie, jakby za stołem z nim siedzieli w Białym Kamieniu.

— Dał szlachcicowi w ucho! — mówił. — A kto go wie, czy on sam szlachcic; więc to policzek, za który śmiercią karać trzeba, a ja mu się dalem rozprawić z niedźwiedziem, no i Włoch mojego starego tylko, że nie udusił. Niedźwiedź go podrapał, a ten, za gardło ścisnąłwszy, tylko, że nie zadławił...

Z tąż samą obojętnością rozpowiadał o przygodzie swej z dominikanami.

— Jeden z nich, prawda, że niewinny był, — dodawał — ale łajał mnie szpetnie, a ja tego nie znoszę.

Gdy któryś z nich napomknął Trepkę, zabitego na łowach, o którego morderstwo obwiniano Samuela, nie podniósł głowy, nie przyznał się, nie odpowiedział nic. Czoło mu się pofałdowało i łzy pobiegły z oczów. Trepka przypominał mu żonę, a względem niej uznawał się winnym. Słowa już z niego dobyć nie było można.

Innych dni leżał na łóżku, odwrócony do ściany i ani jeść, ani mówić nie chciał; czasem, gdy sam na sam siedział z Mroczkiem, starał się coś dobyć z niego, dowiedzieć o rodzinie, o staraniach, bo nie wątpił, że czyniono je dla ocalenia mu życia, ale rotmistrz składał się nieświadomością zupełną.

— Ja stąd krokiem się nie ruszam, noc i dzień, jak widzicie — dodał Mroczek — nic nie wiem... nie słyszę nic...

— Przez litośćby też choć dzieci do mnie puścić powinni, — mruczał — żeby ja jeszcze Olesia mógł uściśniąć i tę biedną Anusię pocałować. Ona się w śmierć zapłacze, biedna...

— A co się tam dziać musi z Włodkową — myślał dalej i myśląc, pocieszał się tem, że ona przedzej o nim zapomni.

Po tych wszystkich ulubionych istotach, w których rzędzie stali naostatku panowie bracia... przychodził Borosio, a po nim sokoly i psy, o których los się troszczył.

— Żeby przynajmniej na dobre ręce poszły — mówił — a to zmarnieje... Moje ptaki króla warte, ale nie takiego, jak nasz; ale to Olesiowi się teraz nie zdalo, zabierze pan Andrzej i pozytku z tego mieć nie będzie.

Z dumania w dumanie, jak po zarosłych ścieżkach starego ogrodu, kroczył po wspomnieniach swoich, uśmiechał się i płakał. Jeszczenickiedy krwi a zemsty mu się zachciewał, osobliwie, gdy Wojtaszka przypomniał; ale pocóż się teraz było marnie jeść pragniem, które ziścić się nie mogło?

— I przez niego mi ginąć przyszło!! — mruczał.

Gdy dnia jednego przyszedł od kanclerza pisarz badań go o listy, znalezione w szkatułce, którą ludzie ze Stogniewic wydali, Samuel powziął jakąś nadzieję nowego obrotu rzeczy i zapierać się zaczął.

— Ja o niczem nie wiem! Do żadnych spisków nie należałem! — wołał. — Czyż to moją winą, że podczaszy pisał: *Rex, si hoc nomine dignus*. On jest slugą cesarskim, a nie poddanym Batorego... Mógł sobie pisać, co chciał i myśleć, co mu się żywnie podobało! Winy na mnie za to kłaść się nie godzi; nie jam pisał... na mnie dowodu żadnego niema!

Kanclerza bezprzestannie oblegano; rodzina, przyjaciele, domownicy, tak, że się pokazać nie mógł i w końcu zniesierpliwiony, nikogo nie dopuszczał do siebie.

Natenczas pismami go zarzucać zaczęto gwałtowni i pokoju mu nie dawano, przez najobojętniejszych ludzi starając się mu doręczyć je.

W pismach tych dowodzono, nie bez pewnej podstawy, że uwięzienie banity starczyło i że na gardle go karząc, szedłby kanclerz dalej, niż prawo chciało, bo Zborowski nie był ani *infamis*, ani *in recenti criminie*.

captus (na gorącym uczynku). Sejm więc powinien był o dalszem jego rozstrzygać losie.

— A nie dufasz li — mówiono — zamkowi krakowskiemu, my tobie dla pewności i bezpieczeństwa zapiszemy się i zaręczymy, jako chcesz. A nie może li to wszystko być, prosimy, abyś tylko zaczekał i tyle nam tylko czasu dał, abyśmy do króla jegomości jechali, a od samego króla jegomości wyrok słyszeli.

Wiedział bardzo dobrze Zamojski, jakiego król usposobienia był i że to wszystko już nic pomóc nie mogło, nie przypuszczał więc nikogo do posłuchania. Na mieście powtarzano, iż wyrazić się miał z powodu tego niepokoju i poruszenia umysłów.

— Fraszki to są, a ja się na fraszki nie oglądam, bo Polacy są piwem, które kisa (burzy się) z początku, a potem za wodę stoi; ja zaś, mając władzę i urząd, na nie tylko oglądać się muszę.

Mówiono, że się na jednych Zamojski odgrażał, drugim starostwa obiecywał, aby milczeli, a krewnych namawiał, aby się daremnie za Samuelem nie ujmowali. Ponieważ ludzie, jak Borowski, Luzicki i inni, gwałtem się na burgrabstwo parli, wciskali, przekradali, ich kazano łapać i ścigać; stąd nowe na kanclerza krzyki i potwarze, iż na gardle chciał niewinnych karać.

Ile naówczas ucierpiał Zamojski, wyrazić trudno, a nie dziw też, że wiedząc o woli króla nieprzelamanej, rad był co najpędzej wyrok spełnić i koniec temu położyć.

Księdza biskupa krakowskiego, który z obowiązku chrześcijańskiego nie mógł interwencji swojej odmówić, musiał raz jeszcze przyjąć Zamojski i wysłuchać prośb i zaklęć daremnych.

— Ojcze mój — odparł wzruszony razem i zniecierpliwiony, całując ręce pasterza — nie moja w tem wola. Ja stoję pod rozkazami króla i prawa, a oboje mnie zmuszają nie folgować winowajcy. Nie przypisujcie tego mnie, co mi tak twardem jest do spełnienia, jak Zborowskiemu będzie do poddania się.

— Ale król? król? — zapytał biskup. — Byćże to może, aby się chciało okazać tak okrutnym?

— Okrutnym nie jest, — rzekł Zamojski — ale mu krwi napsuto wiele, bluzgając w oczy wyrzutami nie-sprawiedliwości, a ma to przekonanie, iż dla dobra Rzeczypospolitej zuchwałstwo i wareholstwo wszelkie ukrócić potrzeba. Na Zborowskich zaś ciężą tak jawne winy, iż na życie króla godzili, że przeciwko niemu nieustając spiskowali.

Biskup, ręce zalamawszy, płakał cichem i łzami.

— Wiem, iż wy nie jesteście sprawcą, — odezwał się — wiem, że gdybyście mogli, zażylibyście powolności, bo umysły są srodze zażarte, burza powstanie... żał mi więc was, bo nie kogo, jak Zamojskiego, o tę głowę obwinia.

Kancelerz nic nie odpowiedział; był od początku na to przygotowanym.

Tymczasem wnet po biskupie pani Spytkowa, prosząc i wołając, znaczną liczbę rycerstwa zgromadziła, która koło uczyniwszy z rozgłosem wielkim iše chciała gromadnie do hetmana. Zapowiedziano im, że nawet do zamku przypuszczeni nie będą. Spisali więc zaraz notę... i oddali ją Piotrowi Zborowskiemu, który u hetmana wielkie zachowanie miał, ale z innymi Zborowskimi nie trzymał.

Nim się rycerstwo znowu rozjeźdżało zaczęło, podniosło przeciwko hetmanowi krzyk wielki, gdyż u bram zamkowych ktoś im powiadał, że tłumne najście na Wawel hetman trzymał jako tumult i rebelię, i gotów był kazać łapać i więzić, gdyby się zuchwale stawili.

Z obu stron rozdrażnienie dochodziło do najwyższo-
szego stopnia, a dłużej w tym ogniu i ukropie wytrwać było trudno i przeciąganie na nic się już nie przydało.

We czwartek przed św. Trójcą, dwudziestego czwartego maja wieczorem, Zamojski już ze znużenia i niepokoju upadając niemal, postanowił dekret kazać spełnić. Im się dłużej ciągnęło, tem rosły gniewy i niechęci, a można się było spodziewać, że zapaleńsze głowy

rzucą się na jaki nierożważny gwałt, który może się stać przyczyną daremnego krwi rozlewu.

Samuel się tego spodziewał i choć momentami nadzieję miewał, przedko go ona opuszczała. W początkach też widząc, że tu Uowiecki wszystkiem kieruje i nad Mroczkiem i Sernym zwierzchnictwo ma, a najprędzej wiedzieć będzie, gdy co postanowionem zostanie, prosił go, ponawiając często żądanie.

— Uowiecki, jakę poczei, będziesz li wiedział co i kiedy mi przeznaczone, nie omieszkaj na kilka dni wprzódy dać mi znać! W podróz tę przygotować się jużem muszę, bo na duszy niemało mam... Nie dajże mi nieprzygotowanemu stawać na sąd Boży!

Uowiecki mruknął, przyrzekając, ale naprawdę niewiele mógł obiecywać, bo hetman się przed nim z myślą żadną nie wywnetrzał zawsze, tak jak i przed innymi. Zawsze w sobie zamkniętym był.

Dopiero w ten czwartek wieczorem, kazawszy do siebie przywołać Uowieckiego, rzekł mu:

— Skończyć trzeba ze Zborowskim... w piątek, albo li w sobotę...

Zadumał się nieco.

— Powiem ci jutro...

Tu westchnawszy, hetman dodał:

— Jak mi ciężko to ostatnie słowo rzec, Bóg świadek, ale szlachta się burzy i oblega mnie, nie dając pokoju, a każdy posłaniec od króla przynosi zapytanie, czy już głowę dał. Niesposób go ocalić...

Uowiecki spytał ostrożnie:

— Mogę mu to oznajmić?

— Gdyby to dla duszy jego potrzebnem było, — rzekł hetman — należałoby, ale nowinek chwycił, dywidentem się głosi, księdza nie weźmie, a ma li się darmo myślami nękać, poczekaj... Już i duszę jego uratować będzie trudno...

Na tem stanęło.

Uowiecki milczał, ale na burgrabstwo do Przyłęckiego chodząc, nosił z sobą wyrok na twarzy i mi-

mowolnie się zdradzał, tak, że Zborowski, choć nie mówił nie, miał już przeczucie zbliżającego się terminu.

Dopiero w piątek, gdy godzina była na noc, wszedł o porze, w której nie zwykł był do Samuela przychodzić Urowiecki, a skoro w progu stanął, zerwał się, w komorze go czując, Zborowski... Szedł ku niemu ze spuszczoną głową Urowiecki, milczeniem mówiąc więcej, niżby mógł ustę. Stanął z jakąś uroczystością przed więzniem.

— Samuelu Zborowski, — rzekł poważnie — wiecie masz o tem, że gardło dasz... Wola jest króla jedności i naszego miłośiwego jegomości pana kancelarza, jutro co najranej...

Opodal stali Mroczek i Serny, którzy do tej godziny, choć się może domyślali czego, nie wiedzieli nic na pewno.

Zborowski się poruszył gwałtownie i niespokojnie bardzo, nie mogąc utrzymać przy tej obojętności, jaką dotąd okazywała się starał. Stał się bladym bardzo, głos mu drżał,

— Urowiecki nieboże, — zawała z wyrzutem gorzkim — miałeś mi to na kilka dni przed terminem oznajmie i przyczekłeś, a słowa nie dotrzymałesz. O sumienie mi moje szło, o duszę, bom nie gotów, aby przed majestatem Bożym stanąć, a chcialem w siebie wnijść i przejednać gniew Pański.

Urowiecki mało co odpowiadał na uniewinnienie.

— Slugą jestem pana kancelarza, — rzekł — ten mi teraz dopiero oznajmil i odnieść wam kazal... Nic mogę inaczej...

Zborowski, który z łóżka się był podniósł, opadł na nie i twarz zakrył dlonimi, a pozostał tak chwilę niemały.

Za bujnego żywota mało o Bogu pamiętał, a ówczesne dysydentów i reformatorów naśmiewania się ze wszelkich katolickich obrzędów, zwyczajów i prawidel życia weignęły go też na tę drogę, iż kościoła nie znal, a modlitę się zapomniał. Ale z dzieciństwa mu

coś pozostało na dnie duszy, co się teraz odezwało żywo.

Uczuł się jakby z domu rodzicielskiego wygnanym sierotą, która nie wie, gdzie się schronić ma. Katolicki kościół nie mógł go już przyjąć, a od nowych przyjaciół i predykantów niewiele się mógł spodziewać pociechy.

Straszliwa trwoga jakaś go ogarnęła nie ziemskiego niebezpieczeństwa, ale zagrobowego losu, jaki go miał spotkać.

Wszystkie owe szyderstwa i lekceważenia dawniej-sze wydawały mu się występnemi, a wiara pierwsza jasno świeciła... ale między nią a nim była przepaść, którą wykopało życie. Spojrzał w nią i strwożył się mocno.

Wszyscy przytomni milczeli, bo nikt go nie śmiał pocieszać, aniby wiedział jak. Zborowski zwrócił się żebrzącym niemal głosem do Mroczka.

— A! mój miły Mroczku... przebóg! proszę cie, dla miłości Jego, nie opuszczaj ty mnie, nie odchodź ode mnie, nie śpij tą noc... Mam na sumieniu grzechów tyle, że je rozpamiętywać muszę, a sam będąc... nie potrafię...

I dodał teskno.

— Pewna to rzecz, żem na potępienie zasłużył, jeśli miłosierdzie Pańskie w pomoc nie przyjdzie, a znajdę li je u niego?

Mroczek, litością zdjęty, odparł:

— Panie Samuelu, a toć wiecie, że o miłosierdziu Bożem nigdy rozpaczować nie należy. Za to jedno Bóg karać może i potępić, gdy się o Jego łasce powątpiewa.

Potem nic słyszać nie było, tylko ciężki oddech Zborowskiego, który nie wiedząc o tem sam, pot z czoła spływający ocierał. Nie patrzał już ani na Urowieckiego, ani na Mroczka, oczy mając wlepione gdzieś, a nie widząc nic.

— Bóg mnie od rozpaczyc uchowa, a ulituje się — począł cicho. — Jednak miano ze mną tak postąpić, należało chrześcijański obyczaj zachować, a dać mi

czas do skruchy. Śmierci się ja nie boję, bo wiem, że to dług przyrodzony jest, ale o duszę troskać się muszę.

Znowu nastąpiło milczenie.

W izbie tej, w której Zborowski siedział wówczas, zwłaszcza, że to było pod noc, sprzęt wszelki stał jako pozostały po dniu, bez ładu i porządku. Na stołach leżały odzieże i pozapominane miski, na stole napoje porozlewane, kubki powywracane, chleba szczątki, papierów kawalki. Obejrzał się dokoła Urowiecki i rzekł do Mroczka:

— Proszę cię, niechaj tu będzie porządniej, bo pan nasz przyjdzie.

Samuelowi twarz pobladła.

Mroczek zaś, powstawszy, zaczął zaraz zmiatać, sprzątać, układać, co mu się nie udało, w kąt rzucać, stołki ustawiać, a jedno siedzenie naprzeciwko łóża pana Samuela przygotowało, można się było domyśleć dla kogo.

Milcząc o te przygotowania patrzał Zborowski, ale oczy jego każdy ruch Mroczka śledziły, a usta mu się ściągały i twarz, która przed chwilą chrześcijańską pokorę wyrażała, ziemskie uczucie niechęci i gniewu coraz dobitniej zaczęła zdradzać... Odezwała się duma i żal, i niepokój...

Przychodziło mu więc oko w oko się rozprawić z tym nieprzyjacielem, który tak długo niewidomy go ścigał, teraz zwyciężą, mogącym się naigrawać i triumfować...

Było to nowe męczeństwo, którego się nie spodziewał. Tchnął ciężko, a nie strzymał ust. Obrócił się do Mroczka.

— Widzę, że wszystkiego mu mało; chce mnie smążyć jeszcze, niżeli umorzy. Ale na to ratunku innego niema, jak się poddać woli Bożej, która mnie w moc jego dała. Nie mam co innego do czynienia, tylko cierpieć, a Pana Boga o cierpliwość prosić, bom jej nigdy nie miał.

Widocznem było, że się straszliwie męczył; z czoła lał mu się pot, który gwałtownie ocierał, a wnet znowu

występował; na miejscu siedzieć nie mogąc, poruszał się niespokojnie, wzdychał, ale już trwoga o Zamojskiego ustąpiła, a dawna o duszę wracała.

Z ust mu się wyrywało wzywanie Boga o pomoc. Mroczek milcząc, ukończywszy uprzątanie, siadł opodal trochę, ale go z oka nie spuszczał, bo litość nad nim miał. Najtwardsze serceby się było poruszyło, bo naprzód jęczeć zaczął, stękać, a w końcu ryknął płaczem wielkim.

Trwało to dobrze długo, nim znowu oczy jego padły na to stojące naprzeciw łóża krzesło, dla kanclerza przeznaczone i myśl się zwróciła ku niemu.

Odezwał się do Mroczka:

— Mroczku mój! powiedz mi, ja głowę tracę, zaprawdę. Kanclerz ma tu przyjść, w jego ręku jestem... Jak ja z nim byé mam, co czynić? jak mi radzisz?

— Nie potrafię radzić — odparł rotmistrz. — Bóg widzi!

— Zlituj się, wy go wszyscy lepiej znacie, — rzekł Samuel — ani wiem, ani rozumiem, co pocznę. Nuż go obrażę! Nie chciałbym, a upokorzyć się i spodlić nie mogę... Co tu czynić?

Mroczek milczył; tedy gwałtownie znowu spytał:

— Mroczku mój, odezwij się choć słowo, jak ci się zda?...

— Nie wiem — zamruczał rotmistrz.

Choć go tak odprawił, Zborowski nalegał.

— Mroczku, co ja z nim mówić mam?

I powtórzył to razy kilka, aż Mroczek, odsuwając się nieco na stronę, rzekł:

— Już rady wszelkie się skończyły; nic nie wiem, zaprawdę, nie wiem nic.

Wtem u drzwi dało się słyszeć stąpanie; Zborowski, trwoźnie się poruszywszy, podniósł głowę, snać już kanclerza się spodziewał, ale otworzyły się one i wszedł Myśliborski, pół-hak trzymając w ręku.

— Panie Zborowski, — rzekł — gotujcie się. Jegomość pan nasz miłościwy idzie.

— A cóż ja mam czynić? — zapytał Zborowski.

Myśliborski, pokorny sluga, nie znał nic innego, tylko:

— Co? Do nóg mu upaść się godzi...

Za drzwiami już dały się słyszeć gwałtowne stąpania, szepty i szczeć żelastwa; otworzono drzwi naoścież i w nich ukazał się Zamojski, odziany jak był dnia poweszedniego, z kolpaczkiem na głowie z czaplem piórkiem, które wówczas, za królem idąc, noszono. Szable miał u boku.

Twarz hetmana wyrażała spokój, a majestatem sędziowskim się przyoblekła, ale uczucie ludzkie przecie, choć mało dostrzeżone, w niej drgało.

Tuż za kanclerzem, więcej dla oznaki dostojeństwa, niż z potrzeby, cisnęło się siła ludzi, wszyscy z pół-hakami, jakby na nieprzyjaciela. Izba ich prawie stała się pełną.

Samuel wstał z łóża i parę kroków uczynił ku hetmanowi, tak, że tuż naprzeciw niego stanął.

— Proszę miłości waszej — rzekł głosem trochę drżącym — bądźcie na mnie łaskawi...

Zamojski rękę wyciągnął, jakby mu nie chciał się dać zbliżyć i zamruczał tylko:

— Nic mi potem... nie czas...

Stanął więc znowu Zborowski podle swojego łóża i czekał.

Upłynęła chwila; kanclerz krzesło dla siebie przygotowane zobaczywszy, usiadł na niem. Z za sukni widać było papiery, które przyniósł ze sobą i dobył je, na stół rzucając przed Zborowskim.

— Masz, oto są listy królewskie! Czytaj je sobie; masz dać gardło!

Zborowski na listy ani spojrzał, i po krótkim namyśle rzekł:

— Czytać ich nie potrzebuję; czyście ze mną, co chcecie, wszak macie mnie w ręku...

Znowu chwila milczenia nastąpiła. Zamojski oczy spuścił i dumał, czoło mu się fałdowało.

— Mów — odezwał się powoli — o co cię będę pytał, to najpierwsza. Idziesz przed majestat Boży, już

się nie masz na co oglądać na tym świecie. Gdybyś zataił to, co może szkodliwem być dla króla i Rzeczypospolitej, na sumienie to swe weźmiesz, na duszy twojej zostanie. Teraz ci już nieenota, braciszek twój, Krzychnik, nie pomoże.

Samuel zmilezał, choć chciałło mu się stanąć w obronie brata, a no — nie pora była. Trwało z obu stron milczenie.

— O cóż wasza miłość pytać mnie raczysz? — odezwał się Zbrowski.

Kancelerz podniósł oczy.

— Jaki to do ciebie list Krzychnik pisał? Co on sobie o królu myśli? he? O onym trojeaku też mi powiedz... przeplonię ja mu trójęę i samemu jemu się dostanie.

Przystoi to senatorowi cyframi pisać do brata? Albo to nie jest podejrzane, zdradzieckie, nieprzyjacielskie pisanie? Toč każdy rozumie, że gdy się co talię chce, tam już dobrego być nie może. Ja to sobie z nim do sprawy na sejm zachowam.

Stoi w tymże liście: *Rex, si hoc nomine dignus!* a to nie cyframi, ale prostem pismem ku świadomości wszystkich. Dalej: „Niżowej się przydadzą”, i to nienale ma znaczenie, boś ty do nich jeździł, a podeziaszy twój i marszałek listami ich obsyłał, a jednaliście ich sobie. Potem te wasze zjazdy, narady, coście się od oczu ludzkich zdala, w waszem gniazdku nieenotliwem zbierali i potajemnie radzili? Cóż ty na to?

Słuchał pan Samuel, rozważając, co powiedzieć miał, bo tu już nikogo mu bronić nie potrzeba było, krom siebie samego.

— Mamże ja za to odpowiadać, — rzekł — co kto do mnie pisał? Jamei tego nie dyktował, anim rozumiał często, co znaezyły cyfry i słowa... nie odpisywałem mu... nikt tego nie dokaże. Niżowee się sami do mnie napierali i jeździli wielekróć, a ja do nich raz tylko i to przeto, żem ich na usługi króla i Rzeczypospolitej ująć chciała. Nie czynilem z tego tajemnicę. W tem winy żadnej upatrzyć się nie godzi. Służyłem

panu, a nie komu innemu, a sila takich jest, których wymieniać nie chcę, co cudzym bogom sługi wali, a przecież ich potem nagradzano i opatrowano... Jam nikomu nie służył.

Teraz też, kiedy na Tekinię szli Niżowce, słali do mnie, powiadając, że to była przysługa królowi jego mości, ale gdym usłyszał, że to było nie w myśl królewską, nie przyłożyłem się do tego najmniejszą rzeczą, a żadna rzecz mnie od tego nie odwiodła silniej, jak właśnie ów list pana Krzysztofa.

Wreszcie, co się tyczy naszych zjazdów i narad, tak w izbach i komorach naszych, jako podczas i na trawie w lesie, z czego mi grzech czynicie. Bóg to wie, iż my trzej bracia młodsi radziliśmy się tam z okazji we ela waszej miłości. Spodziewaliśmy się przy okazji tej przyjścia do łaski jego królewskiej mości, zwłaszcza, żeśmy mieli obietnice miłości waszej, nietylko słowne, ale na piśmie.

Omylilaby zaś nadzieja łaski, radziliśmy się wyprzeć z Polski, a innego laskawszego pana szukać sobie, wreszcie krzywd naszych się pomścić, ale godziwie i przystojnie, choćby i na miłości waszej, gdyby się okazało, że byliście przyczyną nielaski.

O królu tam ani mowy, ani wzmianki nie było najmniejszej; w myśli nam nie postało przeciw niemu knować. Wreszcie się na tych radach nie postanowiło nic, bośmy czekali na pana gnieźnieńskiego.

Ja potem do Złoczowa jechalem i nie powracalem już do nich, bracia zaś z pogrzebu wojewódziny krakowskiej pojechali do Krakowa. Do mnie zaś pisali, uspokajając, że i u króla, i wszędzie dobrze będzie, że się nienia czego obawiać.

Co się tyczy pana marszałka, brata mego, na którego wasza miłość też masz podejrzenie, jakoby co zlego zamyślał, ten nikomu nic nie winien, o podejściu nieprzyjaciela nigdy nie myślał; poznacie to miłość wasza później, że prawdę mówię. Czysty jest.

Gdy to mówił Samuel Zamojski podczas się uśmiechal, ramiona zżymał, ręką po kolana uderzał, da-

jąc różne znaki niecierpliwości i nieufności; przerywał kilka razy, a potem zawała głośno:

— Wszystko to marne jest i stracone, bo choć pytam was, wiem ci lepiej i mam w ręku dowody i ludzi żywych, co świadczą. Źle czynicie, że mi taić chcecie, bo się to na nic nie zda, a Krzychnikowi nie posłuży, ani marszałka oczyściecie, bo ten gdyby inaczej myślał, z nimby nie obcował.

Przystałoby wam w tej godzinie, sprośności się tych wyrzeklszy, ze skruchą wyznać, co się przeciwko królowi zgrzeszyło. Waszego Krzychnika nic już nie uratuje, bo jawny zdrajca jest, a marszałek, choć się listami nie wydał, toż samo myślał, co ten pisze, a co wy czynić chcieliście.

Przecież nie tajno nam, żeście się z Ciolkiem zmaili do króla strzelać, żeście się nie jeden raz chwalili trafnemi strzałami do wróbl i o lesie, i o gospodach myśleli, gdzieby lepiej zasiąść było, a łatwiej potem uciekać, gdyby rusznica chybila.

Mówiąc to, kanclerz coraz goręcej głos podniósł i krew mu do twarzy napływała. Samuel też słuchać nie mógł bez niecierpliwości, której dawał oznaki, aż wreszcie dłużej wytrzymać nie umiejąc, zawała:

— Przez Bóg żywy! dajże mi miłość wasza pokój! A toż macie mnie już w rękach waszych, czyście, co chcecie, więcej ze mnie nie wysmażycie. Krótki czas żywota mojego, pilniej mi z Panem Bogiem sprawę mieć, niż z wami. Z ciałem już uczynicie, co zechecie, a no duszy mej nie zabijajcie. Proszę was o ministra!

Kanclerz głową poruszył.

— Tego nogą na zamku nie postanie, bo ja go za sługę Bożego nie mam.

Samuel ramionami tylko ruszył.

— Więc wždy o kaplana, jakiego chcecie, proszę, z którymbym na końcu tego żywota mojego o Bogu mógl mówié, a o duszy mej.

Oba byli poruszeni mocno, bo Samuelowe słowa, wyrzeczone z odwagą i mocą wielką, na kanclerza po-

działały. Otarł pot z czoła... i nie żegnając się, ani mówiąc nic, ku drzwiom się skierował.

Zamknęły się drzwi, nastąpiło milczenie. Samuel padł na łóże wysiłony i znękany. Zdawało się skończona wszystko, ale na tem nie było jeszcze końca.

Znowu tedy otwarły się drzwi i wszedł z papierami w ręku pisarek, który tu już nie jeden raz bywał, ciągnąc inkwizycje z Samuela. Zwały się Bech, a był podręczny Heidensteina i mieli go tam za zręcznego, bo się chwalić umiał, ale krom chytrości rozumu wiele nie miały.

Ten przystąpił do Zborowskiego.

— Masz li cokolwiek cnoty i poczciwości, Zborosiu — rzekł, opierając się na stole podle niego — powiedz mi, o co cię pytać będę.

Wtem otworzył pismo, które Samuel mógł poznać, iż było listem Krzychnika, który Wojtaszek zdrajca wykradł i oddał Cobarowi.

Począwszy je czytać, Bech coraz sobie głupim uśmiechem przerywał, patrzył w oczy Zborowskemu i wołał:

— A co? a co?

Ale Samuel nie odpowiadał wcale, dał mu list przeczytać cały i rzekł:

— Nic na to nie mam do powiedzenia, co w liście stoi. Mniemajcie już sobie i trzymajcie jako chcecie.

Czekał jeszcze Bech, czy nie wymoże cokolwiek, zagadnął z listu o jedno i drugie, co znaczyć miało, bo osób, o których była mowa, nie mogli dojść, ale Zborowski nie dał z siebie dobyć słowa.

— Raz mnie już w pokoju zostawcie — zawałał. — Kiedyż tym inkwizycjom koniec będzie? Mieliście na nie kilkanaście dni, a teraz mi ostatnie godziny odjęć chcecie? To okrucieństwo nadaremne, a ja czasu do stracenia nie mam.

Bech, widząc, że nic nie dokaże, zwinął papier ze złością wielką i zawałał:

— Nie dla tego listu cię tracą, to sprawa pana Krzychnika, który na sejmie odpowiadać będzie... je-

żeli go też ułapim, a nie, to i zaocznie sądzić go dadzą. Nie dla listu was tracą, te rzeczy tu nie należą, ale z urzędu starościńskiego kanclerz nad wami moc ma. Przeto nasz pan miłościwy, na nic się nie oglądając, jedno na świętobliwe sumienie swoje, skazuje cię na śmierć świętą, jutro co najraniej, bo jesteś banit, a śmiałeś mieszkać w Koronie!

Na ten wyrok, ogłoszony tak sumaryjnie, Samuel już słowa nie rzekł, aby rozmowy nie przedłużać i czasu nie marnować. Bech czekał, kręcił się, szedł ku drzwiom powoli, na Mroczka spoglądał, naostatek do drzwi przyszedłszy, otworzył je, rzucił niemi i wyszedł.

Zostali z Mroczkiem sami, bo Serny się był oddalił i jakiś czas trwało milczenie. Zborowski musiał spać, bo indagacje te gwałtowne z takim nań imperium padły, że je wydychać musiał, choć po głowie wiły mu się myсли, na które już czasu stać nie miało, aby je wszystkie rozplatać mógł i do ładu przyprowadzić.

Widział Mroczek, jak się kilkakroć w piersi uderzył mocno i płakał, ale wstydząc się tych łez skruchy, ocierał je śpiesznie, a oczyma szukał Mroczka, czy on to widział, lub nie. Rotmistrz zaś, litość mając, udawał, że nie widzi.

Nie mówili do siebie.

Nadszedł Serny, wąsy jeszcze ocierając po piwie, i usiadł podle Mroczka, szepcząc mu coś na ucho. Czekali, co dalej pocznie, azali nie zechce spocząć, ale ku temu się nie miało. Niespokojnie na stole wszystko przewracać począł, jakby szukał czegoś... Dobył swą chustę od chana tatarskiego i położył ją tuż przy sobie.

VI.

Sędził Mroczek, że póki rana się doczekają, spocząć będzie mógł trochę, bo już kilka nocy mało co spłuszczył oczy, nie usypiając, wtem Zborowski zwrócił się do niego:

— Ach, milý Mroczku mój! Widzę, że ci się spać chce, ale uczyń to dla mnie, proszę cię, nie śpij, nie opuszczaj mnie. Tyś mi teraz księdzem, tyś świadkiem i przed Bogiem, i tu na ziemi do wszystkiego, co czynić mam, a ja wierzę, iż będziesz pomniał na Boga, na prawdę, a na sumienie swe.

Mroczek też nie mógł mu odmówić ostatnich posług.

Wtem zaczął prosić o papier, kałamarz i pióro, które mu przyniesiono. Siadł zaraz za stół i pisał, przerywając tylko sobie westchnieniami, a niekiedy o czolo się uderzając. Więc pisał tak a mazał, aż wszystek papier zapełnił, a było go niemal, pospolu i woli ostatniej, i żałów nad dolą swą, i słów do dzieci i rodziny. Pisanie to przeciągnęło się czas niemal, późno prawie w noc; a dokończyszy, porwał się z siedzenia niespokojny.

— Zmiłujcie się, księdza sprowadźcie... nie można predykanta, ministra, to jakiegokolwiek bądź chrześcijańskiego kapłana, z którym o Bogu mówić mógł, a na śmierć się przygotować!

A Mroczek rzekł:

— Późno jest. Skąd go tu wziąć? I niema po niego kogo posłać.

Załamał ręce.

— Zlitujcie się! Wyrostka masz, który śpi oto w kącie; poślij go, to mu nagrodzę. Niech pierwszego, jakiego spotka przywiedzie, albo lî do klasztoru którego zadzwoni.

Mroczek więc chłopca rozbudził, a ledwie można mu było wrazić to, o co szło i kiedy miał iść.

Co się tedy potem stało, wersje krążyły różne, ale najpewniejsza ta, którą z ust samego wyrostka Mroczkowego słyszano. Ten zaledwie w ulicę wszedł ku miastu, gdy księdza zakapturzonego w czarnym płaszczu napotkał. Miał się do niego zbliżyć, aż ten sam podszedł ku niemu i rękę mu kładnąc na ramieniu, rzecze:

— Księcka szukasz?

— A wy skąd o tem wiecie? — spytał strwożony.

— Wiem, bo mi o tem oznajmiono zgóry; księdza szukasz dla owego bezbożnika, którego tracić mają jutro na zaraniu.

— Tak ci jest — rzekł chłopiec, zegnając się.

— Jam ksiądz, prowadź mnie — nakazując do dał mnich. — Przodem idź!

I począł półgłosem pacierz odmawiać, a chłopiec szedł cały wylekły, już się wcale nie odzywając. Gdy na burgrabstwo przyszli, mnich ciągle jeszcze miał kapturem twarz przysłoniętą i tak się do izby wsunął, w której Zborowski modlił się, krzyżem leżąc.

Owo wiedzieć potrzeba, że leżenie krzyżem u dy sydentów wcale się nie praktykuje i że to już znamionowało, że do dawnej wiary powracał, sam prawie o tem nie wiedząc.

Gdy mnich przy nim stanął, a Samuel z ziemi powstał, dopiero kaptur czarny zrzucił na ramiona. Twarz jego zobaczywszy, cofnął się Zborowski z krzykiem.

— Tyś jest!

A mnich stał i oczyma tylko go jakby nawyległ bódł. Nie mówił zrazu nic.

— Jam jest... ja! Bo sprawiedliwość Boża cuda czynić umie, — rzekł mnich — jam jest, któregoś po krzywdził niesłusznie, wystawił na urągowisko, smagał i znęcałeś się nademną. Jam jest, a na ciebie przyszła godzina też, że ci się urągają, smażą, znęcają, i że podlejszym się stałeś ode mnie. Na kolana, grzeszniku zatwardziały!

Obrócił się pan Samuel bardzo pomieszany.

— Chcesz spowiedzi? Okaż skruchę, ukorź się — mówił ksiądz.

Jeszcze tedy Zborowski nie wiedział, co pocznie, stał, a na księdza spoglądał.

— Mówmy wprzody — odezwał się.

A mnich mu przerwał zaraz.

— Co? O religji kontrowersje wprowadzać chcesz, gdy dusza twoja nad przepaścią... Klękaj i grzechy twe wyznawaj, boś grzesznik wielki, gwałtownik i zbójca, i zbrodzień gorszy od tych, co z katowskich rąk gi-

neś... Znam ciebie i uczynki twoje. Idziesz przed majestatem Bożym, obmyj się... godziny, minuty i technienia policzone.

Stał jakby w niepewności Zborowski i bladł coraz. Jako był przed chwilą pokorny i skruszony, tak owo gwałtowne wołanie księdza, równie jak wprzód nacisk hetmana, dobył z niego opór.

Odstąpił krok.

— Toć mówić o Bogu chcę i abyś mnie objaśnił — rzekł dosyć łagodnie — przyjdzie li do spowiedzi, nie wzdragam się.

Mnich zaś, tej tergiwersacji znieść nie mogąc, głos podniósł.

— Duszy więc nie ocalisz, gdy djabłu na pastwę przeznaczoną jest, bo pokuty nie chcesz, bo ukorzyć się przed Bogiem i jego zastępcą na ziemi wstydasz się. Nie przede mną, ale przed Bogiem-byś się spowiadał...

— Mówmy o Bogu, — wtrącił Samuel — niech posłyszę.

— O Bogu do bezbożnika mówić mam — począł o. Czesław. — Tyś gorszy od niewiernych, bo tamci Boga nie znali nigdy, a ciebie wychowała matka bogobojna i miałeś Go, a zaparłeś się. Sprzedaleś jak Judasz za srebrniki rozpusty, dumy i samowoli. Niema dziś na tobie miejsca bez makuły, ani zdrowego nic, gdzieby zgnilizna nie tkwiła. Przeznaczono ci ginąć marnie, a mnie było przeznaczono jeszcze w przededniu zwiastować karę Bożą.

Jęknął Zborowski.

Potem już księdza nie słuchając, ani na niego nie patrząc, jak stał, tak jęcząc coraz głośniej i szlochając, rzucił się na podłogę i krzyżem leżał.

Stała się tedy rzecz osobliwa, na którą Mroczek patrząc powiadał, że mu się robiło tak, jakby na cud jakowy patrzał.

Mnich umilkł i stał nad nim, aż posłyszawszy to jęczenie i płacz jego, przeżegnał się i pokląkł, półglossen rozpoczętając modlitwy.

Jeden zdawał się nie wiedzieć o drugim, a to jęczenie i modlenie się spływało razem dziwnie. Zakonnikowi pot biegł po twarzy, a co była sroga i surowa, łagodnieć poczęła i wyjaśniać się.

Trwało to niemało czasu. Nie patrzył, ani się obrócił Zborowski ku mnichowi. Miał się już na brzask, gdy Samuel jakby usypiał, uspokajać się zaczął, ale jako żywo nie spał.

Mnich klęczał nad nim, pochylił się i szeptał długą, potem rękę podniósł i żegnał, aż nareszcie wstał, kaptur na głowę narzucił i wyszedł.

Samuel zaś, znacznic uspokojony, pozostał tak na ziemi, do siódmej godziny rano.

Na burgrabstwie ruch się już poczynał, dzień się zrobił.

Jeszcze leżał, gdy Urowiecki z innymi oprawcami wszedł do izby, nic więcej nie rzekłszy, tylko:

— Idź!

Odział się w żupan i szedł za nim w podwórze, gdzie trzy razy klękał, składał ręce i modlił się, musieli stać i czekać.

A stąd właśnie kościół widać było. Stanął Samuel itał prosić.

— Urowiecki, jak ci Bóg miły, do kościoła mnie puść na chwilę. Mój, czy nie mój kościół, przecież i w tym Pana Boga chwalą, tego, który jeden jest dla wszystkich. Ja też niech ostatnią chwałę Bogu oddam.

Urowieckiemu serce zmiękkło.

— Niech i tak będzie — rzekł. — Idź przed sie, masz czas jeszcze.

Wtem gdy ku drzwiom kroczyli, ukazał się w nich wychodzący właśnie z kościoła kanclerz. Spostrzegłszy Samuela, za którym szli oprawcy, począł wołać nań...

— Panie Zborowski, postój proszę, odpuść mi, że cię trace, odpuść mi!

— Nie odpuszczę!

A kanclerz nalegał, powtarzając:

— Postój, odpuść mi, proszę cię... nie ja, ale prawo cię karze.

— Nie odpuszczę, już to wiedz, że nie odpuszczę — wołał Samuel.

Stali tak przeciw sobie, a Zamojski twarz miał smutną i błagającą.

— Dla Pana Boga cię proszę, Samuelu... przez Imię Jego, odpuść mi!

Samuel, który już był na próg stąpił, odwrócił się.

— Zagadnęłaś mnie! Odpuszczam ci, ale się świadczę Panem Bogiem i tymi, co słyszą, żem ci ja nic nie winien, bom nie czynił na wzgardę dekretów i prawnic, anim przeciwko poczciwości występował. Powoływanie cię przed sąd Boży sprawiedliwy z sobą.

Kanclerz, wysłuchawszy, odszedł, a Samuel niedaleko od proga w kościele pokłaklszy, modlił się gorąco, aż sam potem mążnie powstał i zwrócił się do drzwi.

Wiedli go tedy mimo Tatary za furtkę ku Stradomiu pod Lubrankę, na ten plac, kiedy od cieci odsądzonych i złoczyńców pospolitych karzą, dla większej zniewagi.

Blanki i plac wszędzie gęsto był obsadzony ludem, który nie dopuszczał nikogo.

Rzucili na ziemię płat sukna czerwonego i kazali mu klęknąć.

A jak był nocą omdlały i w sumieniu niespokojny, tak teraz mążnie bardzo sobie poczynał i prawie bohatersko na tę śmierć szedł i patrzał. Sam z siebie żupan ściągnął, ale że rękawy ciasne były, spoczywał troszynę i stąd na miasto spoglądał, potem wejrzał ku niebu, które było jasne i tylko się dniem rumieniło. Aż z ust mu się wyrwało jakby w zapomnieniu:

— Hej miły Boże, gdzież bracia moi mili, gdzie przyjaciele, gdzież śluszy, czegom ja wszystkiego miał dosyć... dziś... nic!

I stojąc tak już w jednej koszuli, Mroczkowi podał chustę.

— Mój miły Mroczku, jakoś mi przyrzekł, rozmocze ją we krwi mojej, a daj ją synowi.

Mroczek na to niechętnie rzekł:

— Panie Zborowski, pora myśleć o czem innem!

Stał tuż kat, drab wielki i silny, ale drżał i oglądał się, a wtem miecz dawszy pachołkowi w ręce, jakby czegoś zabył, wszedł między ludzi, a na jego miejscu oprawca, pomocnik został tylko. Tego Samuel dostrzec nie mógł i mówił do pacholka, sądząc go katem.

— Już mi na to przyszło, że do ciebie się modlić muszę; ostatni to kres, bo o śmierć mi nie idzie... Proszę cię więc, abyś mi nie przeszkadzał, dopóki modlić się będę, dopiero, gdy raz trzeci rzeknę: Jezus, dogódź mieczem a dobrze, za co tobie z hajduki monetę odkazuję.

Gdy to rzekłszy, położył głowę i modlić się zaczął, obejrzano się za katem, a tego nie było.

W samej ostatniej chwili, albo przekupiony lub przestraszony uszedł i schronił się, a nie znaleziono go aż później w kościele.

Leżała tedy Samuel, a modlił się... i rzekł raz — Jezu.

Hajduki się niepokoiły, bo oprawcy nie było. Szukali go, biegali... więc tymczasowo jeden z nich za miecz wziął, bo z blanków, na których kanclerz stał, znaki im dawano i pan Stanisław Żółkiewski i innych wielu.

— Zawała drugi raz — Jezus — a tu kata nie było, hajduk obnażył miecz, ale mu ręce drżały.

Potem wreszcie trzeci raz rzekł — Jezus.

Pachołek zaś nieopatrzywszy się, nie podniósł miecza aż Zborowski obejrzał się i zawałał:

— Cóż czynisz?

Pachołek zaś, nieopatrzywszy się, nie podniósł mieczem uderzywszy w szyję, kęs pleców też zaciął.

Spadła głowa zaraz na ziemię i odskoczyła od niej trzy razy ku Uowieckiemu, który przelezł przed nią w bok uchodzić musiał i nierychło się uspokoił, bo ludzie, patrząc na to różnie wróżyli.

Czasu tych kilkunastu dni więzienia Uowiecki sobie często bardzo ostro poczynał z Samuelem, litości

mu nie okazując, jak Mroczek, który szorstki był i grubian, ale serce miało.

Taki był koniec onej tragedji Samuelowej, jeżeli to końcem nazwać się godziło, bo naprawdę powstałe i zrodzone z niej zamieszanie, które wstrząsnęło Rzeczną pospolitą, królowi i Zamojskiemu trosk niemało przymnożywszy, dopiero się od tej godziny poczęło.

Prosta, z sosnowych desek zbita trumienka już była zawczasu przygotowaną, w którą ciało, jak leżało, wrzucono, zaraz i głowę też, a krew jeszcze z nich ciekła; potem nakrywszy ledwie, postawili ją oprawcy u furtę przy małym domku, który przekupka trzymała. Nie chciano ciała zabierać i grzebać, aby nie wywoływać jeszcze większego gniewu rodziny, którychby się była o zwłoki upominała.

W mieście zrazu, zwłaszcza, że godzina wczesna była, nikt nie wiedział, że tego dnia miał być tracony, choć się spodziewano tego z dnia na dzień. Ci, co słyszeli wczora, nie wierzyli, gdyż nieraz ich gadanie zawiodło.

Zazwyczaj słudzy Samuelowi przychodzili na zamek do burgrabstwa, choć ich do pana puszczać nie chciano, przynosząc różne rzeczy, których mógł potrzebować. Przyszli więc i dnia tego pod furtę do chaty, przed którą przekupka przy kołowrotku siedziała. Był i Luzicki z nimi. Zbliżali się już do wrót, straży chcąc pytać o pana, gdy stara ich zawołała.

— Co, o pana pytać macie? — rzekła. — Stracili go dziś na zaraniu, a oto trumna jego tam stoi i krew z niej płynie.

Krzyk i lament stał się wielki, a Borowski z Luzickim rzucili się zaraz ku trumnie i gdy odjawszy wieko, ujrzeliby leżącą na wierzchu odciętą głowę, popadali, płacząc, na kolana.

Lament powstał, bo innych też ciekawych zebrala się kupka, a za tymi biegli i inni, widząc, że się ludzie gromadzą; cisnęli się ciekawi, drudzy pobiegli na Franciszkańską ulicę dać znać, aby ciało zabierano do pani krakowskiej, która umyślnie dla sprawy Samuelowej

w Krakowie mieszkała, do pana wojewody kaliskiego i do innych przyjaciół.

Można śmiało powiedzieć, że w tej godzinie przyjaciół miał tylko, bo się wszyscy na okrucieństwo oburzali. Wnet po ulicach, po rynkach rozeszła się wiadomość, że Zborowski został ścięty; nie wierzyli jedni, rozpaczali drudzy, na kanclerza bij zabij wszyscy, czemu go do sejmu nie chował!

Kanclerskim ludziom ani się było można pokazać w ulicach, bo ich ścigano, oprawcami i zbójami na nich ciskając, tak, że kryć się musieli.

Zbiegowiska się zaczęły tworzyć znaczne po ulicach i rynkach, a kto mógł, biegł pod Lubrankę, żeby się na własne oczy przekonać, iż prawdą było, co mówiono.

Około trumny ludzie pani krakowskiej, marszałka i Stadnickich, stanawszy kołem, nie dopuszczali ciekawych, a czekano na panią krakowską, która sama się ofiarowała przeprowadzić ciało.

Nadeszła też poważna pani, cała w czerni i kirze, a z nią Włodkowa od lez czerwona i jak oszalała, i Anusia blada, a tak straszna z tego wewnętrznego gniewu, który nią miotał, że ludzie się do niej przybliżać nie śmiali. Ta płakać nie mogła, usta tylko do krwi gryzła.

Luzicki, Borowski, Morawa wzieli oną trumienkę na ramiona i nieśli ją aż do kamienicy wojewody kaliskiego, a przez całą drogę krew strumieniem się z niej wylewała; tak że i deski, i tragarze byli nią obluzgani. Tu w dolnej izbie na prawo złożono ciało na łóżu, obmyto, oczyszczono, ubrano przystojnie, ale musiano pozostawić do trzeciego dnia, dopóki by trumny dostatej nie przysposobiono i smołę nie wyłano.

Przez cały ten czas, choć wrota były zamknięte i nikogo nie wpuszczano, krom znajomych i przyjaciół, ciąża oblegała kamienicę, szlachta płynęła bezustanku, a który stąd wyszedł, za kord się trzymał, jakby szukał i czekał, kogo rządzić...

Na kanclerzu poczciwej nitki nie zostało, a i królowi też nie przebaczono.

Trzeciego dnia, chociaż się to wcale nie uśmierzyło, trumnę przyniesiono, włożono w nią zwłoki i zamknięto w niej, ale że się wielu domagało go widzieć, pozostawiono szybę naprzeciw twarzy, resztę zaś z prostą, ale uceciwie czarnym gmachtem obito.

Co się działo i pierwszego, i następnych po nim dni na zamku i w mieście, ludzie długo pewnie pamiętali, bo takiego zburzenia umysłów zdawna Kraków nie widział, a było generalne, począwszy od biskupiego dworu do najbiedniejszej chaty...

Na zamku musiano gęsto obsadzić blank, bo się sedykcji obawiano. Do kanclerza nikt nie jechał. Zato do zwłok, do pani krakowskiej, na Franciszkańską ulicę do marszałka cisnęli się znajomi i nieznajomi z kondolencjami, a jakie tam głosy przeciw Zamojskiemu słyszeć się dawały, powtarzać trudno.

Gdyby nieprzyjaciele króla i Zamojskiego chcieli dla swej sprawy coś uczynić, nie mogliby jej lepiej usłużyć nad to, co dla niej sam kanclerz przez śmierć Samuelową uczynił.

Owe ciągłe powtarzane „piwo polskie“ Zamojskiego, które miało rychło stać za wodę, robiło tymczasem w głowach jak w kadziach... a nie czuć było, aby się rychło wyburzyć mogło.

Chociaż panowie Zborowscy, oprócz lamentów, nie czynili nic, w Krakowie powstał taki tumult, taki murmur (wedle wyrażenia ówczesnego) przeciwko kanclerzowi, iż go inaczej nie zwano, jak „gwałtownik praw, tyran haniebny“.

Dla szlachty krakowskiej, która Zborowskich od kilku wieków przy tronie i na krzesłach senatorskich widywała była nawykła, Zamojski był *homo novus*. Wolano, że go król zaledwie *ex stercore paupertatis* wydzwignął. Nie pomogło wspomnienie owego wspomnianego wesela, ani pokrewieństwo z królem.

Ktokolwiek nawinął się kanclerzowi na oczy, zataić mu tego nie mógł, że *indignatio* była powszechną i gwał-

towną, jakiej nie pamiętano w Krakowie od ucieczki Henryka.

Po gospodach i browarach występowali oratorowie, cisnęła się szlachta, czytano skrypta, miotano pogóżkami.

— Czego się my mamy spodziewać, — woiano — kiedy takich rycerzy, co nas przeciwko paganom broniły, na których mocy Rzeczpospolita stała, katowiskim mieczem ze świata gładzą! Czeka nas tyraństwo domowe, albo niewola u Turka!

Gdy w Świdnickiej piwnicy ktoś się śmiał odezwać, że właśnie pan Samuel z Turkiem porozumienie miał i że pełno tego śladów zostawił w pismach i po księgach ręką własną, a podarki od tatarskich chanów odbierał... o mało go, jak kalumnjatora, nie rozsiekano, tak, że się ucieczką salwować musiał.

Nie mogło to dla Zamojskiego tajnem być, co się dokola działo, bo patrzał, słuchał, a wzrok i słuch miał bstry, ale czynił tak, jakby o niczem nie wiedział, lub go to wecale nie obchodziło.

Więc wyprawiono natychmiast listy do króla i gońca z relacją, a sprawy powszednie szły swym porządkiem i nieprzerwanie.

Wieczorem przyszedł do kanclerza Urowiecki, który już od kłótni i łajania ledwie dyszał, z tem oznajmieniem, że nikt z ludzi się na miasto pokazywać nie mógł, bo ich ścigano, kamieniami rzucano, plwano, a z okien katami i oprawcami okrzykiwano.

— Tak daleko to zaszło, — rzekł Urowiecki — iż na sedycję patrzy.

Zamojski spokojny i niewzruszony wysłuchał opowieści i rzekł mu tylko:

— Znajdzie się sposób na to, a nie traćcie animusu... i nie zważyć. Niech się gawiedź wykrzyczy.

Kazał do siebie wezwać na radę Heidensteina i Becha, choć nie oni jemu, ale on im radził i wydawał rozkazy, ale to tak spokojnie i flegmatycznie, jakby mu to bynajmniej nie dolegało.

Nazajutrz Bech spróbował wyjść na miasto

i w pierwszej gromadzie, gdzie wykrzykiwać zaczęto o owej niewoli tureckiej, on się znowu wyrwał z argumentem, że Samuel z Turkami i Tatarami miał kon-szachty.

— Jeżeli tak było, — krzyknął pod nos mu szlach-cie, pięcią demonstrując — a toé to sejmowa sprawa, nie kancelerska. Czemużeście go z pismami temi i księ-gami na sejm nie schowali.

Bech na to jeszcze ofuknął:

— Boże uchowaj! Dobrzeby tak było postąpić z kim innym i pewnieby się też tak uczyniło, ale nie z moż-nymi despolą, jak Zborowscy; z tymi inaczej potrzeba. Ujrzycie zresztą, że i na sejm się jeszcze dosyć zostało; mamy na nich dowodów siła, okaże się wszystko.

Wtem dokola zaczęto wołać:

— Kancerek! kancerek! — i nacisnęli Becha a grozili mu i szturchali, tak że się ledwie wycofał i uciec musiał.

Tegoż dnia Serny, którego poznali ludzie Zborow-skich, że ten był, co przy nieboszczyku siadywał, i do-syć się z nim grubiańsko, po chłopsku obchodził, ści-gany i pobity ledwie do bramy zamkowej z życiem się schronił.

Spotykalo to i innych. Miasto całe wrzało pomstą.

W poczatkach służdy kancelersey, nie chcąc okazać, ażeby to ich alarmowało, umyślnie tem zuchwalej so-bie poczynali, strasząc ludzi Zborowskich, naciskając się na domy i szablami pobrękując, ale zawsze potem cofać się musieli, bo mieszczanie przychodzili w po-moc Samuelowym.

Na zamku Urowiecki z rozkazu snać kanclerza właśnie naprzekór kazał okazywać szczególną wes-joś i triumfy wyprawiał. Ustawicznie grano na trą-bach, w bębny bito, żołnierstwo, na blankach stojąc, pokrzykiwało i pieśni śpiewało. A tem, co mieli onie-smienieli, do ostatka zniechęcili i rozdrażnili lud.

Na ulicach wszechznały się zwady co krok. Szła gro-mada kancelerskich ludzi, a napotkała którego ze zbo-

rowszczyków, zabiegali mu drogę urąganiem, wywoływaniem, ukazując na gardła, śmiejąc się, naciskając.

Tąż samą monetą płacili potem zborowszczycy i szlachta, i mieszkańców, czeladź nawet rzemieślnicza, kanclerowskiej służbie.

W dzień Św. Trójcy kanclerz po nabożeństwie pojechał do biskupa krakowskiego. W początkach nie mówiono nic, tylko o królu i o spodziewanym jego przybyciu, a o sejmie konwokacyjnym, ale zaraz ktoś z przytomnych bryznął kanclerzowi sprawą Zborowskich w oczy, dosyć nieprzystojnie.

Zamojski ani drgnął, ani mu się twarz bynajmniej nie zmieniła, począł sprawę wywodzić tak zimno, jakby szło o beczkę soli, nie o głowę.

— Jeden już zuchwałstwo swe gardłem przypiącił, — rzekł — ale na tem nie dosyć. Krzychnika Zborowskiego, podczaszego, ja tem samem prawem zaraz stracić mogę, a że się o to wszelkimi siłami starać będę, nie taję. Ten winien może więcej, niż Samuel, choć zawsze z za płota strzelał... Pisma jego własnoręczne są... *flagrantes*. Marszałek też, choć niewinnym się czyni, tyle wart, co i bracia, ale tego ja na sejm rezerwuję, z poczciwością i gardłem nie ujdzie mi...

Biskup się na to odezwał, do łagodności pobudzając, na co Zamojski rzekł:

— Długo pan nasz cierpiał i miłosiernym był, a no przebrała się miara, bo nam na głowach koły ciosać chce. Nie byłoby rządu, gdyby nie było sądu, a przed tym tak dobry pan Zborowski, jak najmniejszy chudzina.

Słowa te potem rozniesiono zaraz z kamery biskupiej, każdy do nich jeszcze coś przyrzucił i rozeszły się po mieście, a co za uczucia budzily, łacno pojąć.

Tegoż dnia Bech i inni, Serny i Urowiecki przyszli powtórnie do kanclerza do sypialni, przekładając mu, że już na miasto wyjść i ukazać się nie śmieją; Zamojski miał im odpowiedzieć (wedle ich wersji):

— Jām też słyszał, że tam waszmościów straszną po rynkach i boicie się! Cóż, moi mili ludzy i przyja-

ciele, jam wam mówil juž: piwo to polskie, czekajcie
mało, rychlo się wyburzy. Karcie ja każdego muszę
i będę, bo ja urzędom moim, który na mnie pan wlo-
żył, zadosyc uezynię jestem obowiązany, a na fraszki
takie, jak oni Zborowskey, nie zważam.

Ciągle to powtarzano o piwie i o fraszkach, że sobie
ze Zborowskich nie czynił nic.

Urowiecki zaś po swojemu dodawał jeszcze, jakoby
przez Zamojskiego wyrzeczone słowa:

-- Trudniej im o trzysta złotych, niż mnie o trzy-
kroć sto tysięcy. Ja moim slugom mam co dać i mogę
każdego z nich możnym uezynię, czego żaden w Polsee
i na Litwie nie potrafi. Ja was zastąpię we wszystkiem,
a stanie się któremu z was co do gardla i majątkości,
ja mścić będę. Wyście żrenicą oka mego i w tej spra-
wie, i w każdej innej bronić was będę. Mam wojsko,
mam pieniądze, mam państwo w ręku mym.

Ze podobnego coś mógł powiedzieć, możliwe, ale
że to przesadzone w ustach Urowieckiego brzmiało ina-
czej, też pewna, jak niemniej, iż na dwór Zamojskiego
padł popłoch, a siedzieli potem na zamku, ruszyć się
nie śmiejąc, bo ich raz wraz despekty spotykały.

Zborowskey, czując poza sobą i szlachtę krakowską,
i stolicę całą, śmiejęc szli. Przybył do Krakowa z pocz-
tem pokaźnym marszałek Andrzej w wigilje Bożego
Ciała i przez miasto ciągnąc w żałobie, zajechał do domu
na Franciszkańskiej ulicy. Wiadomem było, że
przyjechał po zwłoki brata, które stąd odprowadzić
miano na zamek Spytków, do familiarnego grobu. Do
wyprowadzania tego nie powoływano i nie zapraszano,
ale zawsze zbiegła się gromadnie szlachta, przyjaciół,
slug, dworu i klientów coniemiara. Miasto się prze-
pełniło, jak na festyn największy, na co z zamku ja-
kiem okiem patrzano, rozumie każdy, ale nikt nie prze-
szkodził zmarłemu oddać ostatnią posługę, bo Zamojs-
ski mówil:

— *De mortuis nulla est cura* (o zmarłych niema się
co troszczyć).

Prowadzono trumnę przez ulice z żałobą wielką

i konkursem ludu ogromnym, przy czem marszalek za bramami, gdy na wóz trumnę składać miano, powiedział mowę, którą spisaną puszczeno w świat.

W mowie swej Andrzej wecale kanclerza nie oszczędzał, poprostu stracecie brata zowiąc mordem, nieczem nie usprawiedliwionym, popełnionym dla prywatnej niechęci, „jadówitemu gniewowi i waśni swej zadosyć czyniąc“.

W mowie tej Andrzej bardzo zręcznie dowodził, że banieja ta prawie lat dziesięć starą była, a dopiero teraz ją przebutwiały spożytkowano dla prywaty.

„Blisko lat dziesięć już Samuel w Polsce był, mówił marszalek — *et non temere*, miał pasporty króla jego mości teraźniejszego, miał przywileje na jurgielty, miał listy przypowiadnie, bywał na pokojach u króla jego mości dzisiejszego, bywał u tegoż samego nieprzyjaciecia, z marszałkami wszystkimi siadał, jadał i konwersował“.

Oczywista, że w mowie wszelkiego wspomnienia o listach pochwycionych, spiskach, knowaniach i zamachach, z Krzysztofem razem osnutyich, unikał i czystym, a przemocą uciśnionym, Samuela czynił.

Kończąc tę odezwę do szlachty krakowskiej u trumny brata, która szeroko i daleko rozejść się miała, zakończył Andrzej:

„Jako się na jednej krwi nieprawnie zajuszy nie tuć stanie, bo słodka takim wężom krew ludzka. Jużci słyszę jawne mowy, że toż panu Krzysztofowi, bratu memu, uczyni, o mnie też nie wiem, co za gróżb używa, a jeśliby wygubił dom mój, wy na to przez szpary patrzyć będziecie? Rzucił je już tą kostką, stanęły mu, że na wasze szyje to uczyniono“.

Tak ta Zborowskich sprawa stawała się wspólną całego stanu szlacheckiego, pogwałceniem praw... samowolą pojedyńczego człowieka. W istocie nie zbywało jej na stronach ciemnych, które się wyzyskać dawały w obronie Zborowskich, a raz dostawszy się w usta tłumom, rosły na poemat i legendę, przemawiały do serca tragicznością swoją.

Samuel, słynąc dotąd z zuchwałstwa i samowoli, stawał się bohaterem i męczennikiem, opromieniał go poezja, wychodził z grobu jasnym.

Obudzał litość, przebaczano mu wszystko, podnosili się w nim rycerskie cnoty, męstwo nieustraszone, ochota do czynów, na które niktby się inny nie ważył. Opowiadano, jak na Niżu z Kozaki cudów dokazywał, odpisywano powieść o tem, tak ułożoną, iż go w najpiękniejszem świetle wystawiała. Żyli jeszcze świadkowie, byli towarzysze. Śpiewano o nim pieśni.

Niemalo się też przyczyniało i to do wzbudzenia litości w sercach, że osierocił dzieci, z których Anusia szczególnie się odznaczała żalem swym, publicznymi lamenty i niemal powoływaniem do zemsty. Szła razem z Włodkową i panią krakowską za zwłokami, pełającymi oczyma jednając wszystkich sprawie ojca.

Na zamku wieczorem dnia tego odetchnęli wszyscy swobodniej, gdy rodzina, przyjaciele i cały ten tłum szlachty odpłynął za trumną. Sądzono, iż się wkrótce rozdrażnienie uśmierzy, a Zamojski powtarzał swe piwo, nie rokując poruszeniu temu długiego bytu, a rachując, że przed sejmem wspomnienie się zatrze. Na ten raz jednak rachunek okazał się mylnym.

VII.

Oczekując na przybycie króla, który się z Grodna do Krakowa, albo raczej do Niepołomic obiecywał, bo tam rad przebywał, unikając królowej dla trudnego pożycia z nią, gdyż w istocie małżeństwo politycznym tylko było związkiem, — Zamojski mężnie stawił czoło całej tej wrzawie, jaką śmierć Samuela wywołała.

Przewidywał on poczęści następstwa, gdy Batorego o powolność prosił i słał listy a posły, aby go do niej naklonić. Przygotowany się też znalazł do walki, gdy król nietyle się jej spodziewał; — rachował na trwogę, a teraz widząc, że rozdrażnienie tylko wywołał, tem moc-

niej życzył i nakazywał najsurowsze względem Zborowskich postępowanie.

Z obu stron gotowano się do tej wojny i przyjaciele Zborowskich zręcznie umysły nastrajać się starali rozrzuconymi pismami, które z rąk do rąk przechodziły.

Kanclerz też z założonimi rękami siedzieć nie mógł, choć te szarmykle przedsejmowe nie po myśli mu były.

W kilka dni po wyprowadzeniu zwłok do Spytków Zamojski siedział wieczorem z Heidensteinem i Bechem za stołem, na którym były rozrzucone papiery, i słuchał z zimną krewią opowiadań o pogrzebie, na który patrzeć nie mógł.

Tegoż dnia goniec przyniósł mu od króla listy panów Zborowskich, Jana, kasztelana gnieźnieńskiego, i marszałka Andrzeja... i inne akta, sprawy tej się dotyczące. W liście swym do Zamojskiego król nastawał na to, aby im rozdrażnienie w kraju większem się okazywało, inniej mu się poddawać i folgować.

Zamojski byłby chętnie wiele oznak niechęci puścił mimo uszu, nie podnosząc ich, nie walcząc z niemi, na wiele skryptów nie odpowiadając, co było najlepszym sposobem odprawiania ich pogardą; król zaś przeciwnie nastawał, aby nic bezkarnie nie uchodziło, bo czuł się silnym.

Nie o Zborowskich mu szło, chociaż ich też nie-nawidził, jako osobistych wrogów, ale o całą szlachtę, której butę nieokielznana, swawolę i zuchwałstwo oni wcielili w siebie.

Pożyć ich było to zapowiedzieć innym, że dla wielkiego intencja, związków i znaczenia względów żadnych mieć się nie będzie.

— Prawo nie zna ludzi, — pisał król — tylko uczynki... Ja też osobiście nie widzę żadnego powodu, dla którego bym folgować miał, a tysiąc pobudek, bym nieubłaganie ścisnął wykroczenia.

Listy Batorego dawał czytać kanclerz sekretarzowi, nie dodając do nich ani słowa. One tłumaczyły najlepiej jego zachowanie się.

Bech przyniósł właśnie cały zwitek papierów, które

Zamojskiemu miał ukazać. Szło o to, czy warte były niektóre, aby przeciwko nim z kontrskryptami wystąpić. Kanclerz był nieprzyjacielem tej polemiki bezimiennnej, choć obyczaj kraju czynił ją prawie nieuniknioną.

Wiedziano powszechnie, co i Zamojskiemu nie było tajmem, że nocą ostatniej Samuel, kazawszy Mroczkowi podać sobie papieru, pisał długą, dużo zostawił zapelnionych arkuszy. Co na nich stało nie wiedział nikt, oprócz Mroczka i tych, którym papiery oddał, ale *vox publica* cheiała, ażeby wiersze i żale na nich zostały, których odpisy natychmiast się ukazały.

Przyniósł tedy Bech ów wiersz i podał go Zamojskiemu, uśmiechając się. Kanclerz w milczeniu czytał począł, ruszył ramionami i odsuwając papier, rzekł:

— Nie Samuelem to pachnie, i nie wiem, kto by się na to dał wzięć, ale ludzie łatwocierni są, gdy im tego potrzeba.

— Czytajże wasza mość! — zwrócił się do Heidensteina — pedagog to jakiś i *poeta bullatus* na rachunek Samuela, za pieniądze marszałka tak pięknie wystyliował. Boleść w przededniu śmierci inaczejby wołać musiała, gdyby do skandowania była zdolna. Nigdy też nie słyszał, aby hetman Niżowców muzom dworował...

— Toć pewna, że elegię tę nie on pisał, — odparł Heidenstein — ale ona chodzi po świecie i serca porusza.

— Czytaj, wasza mość! — rzekł kanclerz do Becha, który rozpoczął:

 Słuchajcie, nocne cienie, bądźcie mi świadkami,
 I wy, nieszczęsne ściany, skarżę się przed wami,
 Jak świat stanął i póki bieżą lata jego,
 Żaden nad mnie żałosniej nigdy nie zszedł z niego...

Za tem szło dalej, przyczem Zamojski często ramionami zżymał.

— Zdradził się pedagog — rzekł — mitologia

i erudycją, której bodaj Samuś nigdy nie miał. Ow Jowisz Fata, Tytan, Sysyfus, Cyntia...

— Na toby jednak komentarz się zdał, — odparł Heidenstein — bo tu wiele rzeczy dotknęto, które inaczej brzmią rzeczywiście, niż je poeta urobił.

Kanclerz wziął do ręki, odczytał go raz jeszcze i począł dyktować Bechowi, który notował słowa jego.

— O ojczystej swobodzie mówi, — odezwał się kanclerz — a tej nie kosztował, bo był banitą; zowie się symem koronnym, a nazwiska tego godnym się nie okazał. Powiada, „że zdradną przygodą“ ujęty został, co fałszem jest, bo go umyślnie w imię prawa wzięto.

Z kolei tak Zamojski przebiegł cały ów wiersz, rzucając uwagę, i dodając w końcu:

— Śmierć swą nazywa „niepożyteczną“; bardziej żywot był niepożytecznym, bo więcej szkodził ludziom, zdrowia ich pozbawiając, przykrości im czyniąc. Rzecznopospolita sobie nie ważąc, o królu mówiąc, że go za nic ma. Teraz jest śmierć pożyteczna, bo będzie drugim *in exemplum*, że zuchwałego zawsze karzą.

Heidenstein więc postanowił, czemu się Zamojski nie sprzeciwiał, aby przeciw wierszowi notę na świat puścić. Wtem Bech i drugi wiersz Łaciński średniodwieczną formą niekształtną podsunął, którego pierwsze rymy przeczytawszy, kanclerz śmiechem parsknął i precz go odrzucił.

— Nie wiem, jaki mnich się na to zdobył — zawołał — a no szkoda, że o jakie lat trzysta się opóźnił.

Wiersz ten w istocie jakby przed wieki zlepiony, kończył się groźbami w przyszłości dla Polski.

Cerñite Poloni!
Erit hoc non uni!
Post hoc vos flebitis!

Łacińskiej tej elukbracji dano pokój, śmiechem ją zbywając.

— Toč — rzekł Zamojski — panowie Zborowscy i tem się chwalą, że na Niżu o nim ruskie pieśni Koza-

cy śpiewają; a no chyba na nie odśpiewywać nie warto, boby temu końca nie było...

Przyszły potem na stół listy obu ichmościów Zborowskich do króla, w których nietylko Andrzej, ale i Jan na kanclerza nastawał i z tych się król mógł przekonać, że surowość jego do coraz nowych prowadzić będzie zatargów i zmusi do coraz większych ucisków, a ścigania niemal całej rodzinę.

Miał przed sobą listy te kanclerz i wiele innych, równie niepocieszających dokumentów.

Za Samuela o pomstę do Boga wołano.

List kasztelana gnieźnieńskiego mógł najboleśniej dotknąć Zamojskiego. Stał on dotąd zdala, nie miesząc się do spraw braci, którym był obcy; jak piorunem raziła go wiadomość o śmierci Samuela. W spiski, w winy braci, w zamachy na króla kasztelan nie wierzył, nie znał ich... miał je za potwarze; gwałt, czyniący zakąkę rodzinie, dotknął go okrutnie.

List do króla skończył się okrzykiem bolesci.

„Nie przyszło to uczynić Zamojskiemu dla dobra Rzeczypospolitej, — pisał kasztelan — bo ta nigdy nie była w niczem od niego obrażona, jeno z waśni a uporu swego przeciwko domowi naszemu, jako temu, który się zawsze o to stara i starać chce, jakby wszystkie domy co najcenniejsze w Polsce naprzód do nielaski waszej królewskiej mości przywiódłszy, wyniszczył do gruntu, czego już dosyć widzimy na oko, a sam siebie tylko i powinne swoje wynosi, aż pod obłoki, a nigdy w niczem Rzeczypospolitej i waszej królewskiej mości zasłużone, którego nie tak jego godność, jako wielka łaska waszej królewskiej mości *ex stercore erexit pauperem* (ze znoju ubogiego wyniosła).

„Żal takowy w nas wiecznemi czasy uśmierzony być nie może, a życzyłbym sobie, niż do tego przyszło, aby była ziemia nas pierwej pożarła i potomstwa nasze, bo nie jedno my, którzyśmy zostali na świecie, ale i ci, którzy już są na lasce Bożej, by jaką wiadomość o tem mieli — i ciby równą żałosć z nami mieli, do jakich dyscensyj i trudności waszą królewską mość i wszystką

Rzeczypospolitą wiedzie; daj Boże, aby to wasza królewska mość, jako we zwierciadle, obaczyć raczył. Dalej i więcej żal, który się prawie z duszą łączy, nie dopuści mi pisać. Wszystko na łaskę waszej królewskiej mości i rozsądek przypuszczając, ostatek się do sejmu odkłada”.

Przy czytaniu listu tego kanclerzowi, gdy Bech przyszedł do miejsca, gdzie zelżywie się wyrażał kasztelan, *ex stercore...* utknął. Spojrzał nań Zamojski i rzekł chłodno:

— Czytaj, wasza mość.

Wahał się jeszcze amanuensis, gdy Zamojski zwolna mu papier wyjął z rąk, półglosem przeczytał.

— *Ex stercore!* — pokręcił głową i oddał mu list, aby kontynuował.

Nic sobie niby nie czynił z tego wyrażenia, przecież go to zabolął i kilka razy w duchu powtórzył sobie: *Ex stercore!*

Na królu, który sam sprawcą wszystkiego był, listy te nie czyniły wrażenia; kanclerz cały ciężar odpowiedzialności dźwigał, jego tylko obwiniano.

Zborowscy czynili teraz nadzwyczaj dużo, bo im o przygotowanie umysłów do sejmu chodziło; nietylko do króla ze skargą wystąpili, zaskarżyli kanclerza do trybunału w Lublinie, a przedstawili rzecz w ten sposób, że trybunał, acz z oględnością, postępowanie Zamojskiego naganiał.

Pismo to obeszło go najwięcej.

Powaga trybunału była wielka, mogli się nią zasłaniać Zborowscy. Zmilczeć też nie mógł kanclerz i odpowiedzieć musiał.

Tak mironowoli prawie wszędzie był wciagnięty, iż się tłumaczyć i odzywać został obowiązanym. Milczeć był wolał, lecz nie godziło się. Gdy w odpisach poszła mowa pana Andrzeja, miana przy wyprowadzeniu zwłok — i przeciwko tej protest zaniósł; do Lublina odpisywał, na wiersze odpowiadał, bo raz wszedłszy na tę drogę utrapiona, nie można było zawrócić.

Tak nie jeden ten wieczór, ale i dnie całe i noce cza-

sem schodziły na sprawie Zborowskich, która miasto się przez to przygajać, coraz większą jątrzyła raną. Wszystkie żywioły nieprzyjazne przychodziły jej w pomoc, a szczególnie potajemne stronictwo cesarskie, które się wielce radowało zawiązaniu.

Król z obojętnością pozorną, a w istocie z zaciętością nieubłaganą przeciwko Zborowskim działać polecał. Listy ich trzymał, czytał i sam dawno sprawę osądził, a to, co o niej mówił Zamojski, było tylko powtórzeniem myśli królewskiej.

Gdy się to działało w Krakowie, marszałek tymczasem jeździł, zjazdy i sejmiki nawiedzał, do szlachty przemawiał, mów swoich kopje rozpuszczał w świat, listy rozpisywał, rodzinę najdalszą skupiał do wspólnego wystąpienia na sejmik w Opatowie; prośbę w Zborowie podpisali nietylko Jan, Andrzej, Krzysztof, ale Piotr, Krzysztof drugi młodszy i Jan Stobnicki, tłumacki, kamionacki starosta... wszędzie jedna powtarzała się groźba: *Hodie mihi, cras tibi*. Dziś nas to spotkało, jutro całą szlachtę toż samo czeka!

Szlachta do tego stopnia już się poruszyła, że na sejm chciała nie przez posłów się stawić, ale gromadnie, tak, jak na elekcję, kto żyw... Odradzili to wszakże Zborowscy, aby o rebelię i najście gwałtowne ich nie oskarżono, i sejmu nie odwołano, a zatem i sprawaby odroczoną została.

W pierwszej chwili po śmierci Samuela, gdy Zamojski nieraz, ale wiele kroć z tem dał się słyszeć, że ten sam los zgotował dla Krzychnika i że tem samem prawem jego bez sądu i sejmu może karać na gardle, troskliwy o siebie Krzysztof, nie czując się czystym, natychmiast pierzchnął i na ziemi cesarskiej schronienia bezpiecznego szukał.

Czynnym był za niego Andrzej, którego on radami wspierał, listów się już wystrzegając teraz, a ustne mu ślać informacje.

Postrzegli się jednak wkrótce wszyscy, że ta ucieczka podczaszego na niekorzyść jemu i sprawie wcho-

dzila. Mimowoli mówiono sobie: gdyby się w sumieniu wolnym czuł, nie obawiałby się niczego.

Raz i drugi zagadnięto o to marszałka, który powrót brata obiecywał. Ale gdy Krzychnika namawiać przyszło, aby przyjechał, rozbiliły się prośby i wymagania o najdziwaczniejsze a najrozmaitsze z jego strony wymówki. Życia dać Krzysztof weale nie myślał, przyszłość mu się jeszcze uśmiechała.

Z panem Czarnkowskim, mówiąc w te czasy, ciągle powtarzał mu.

— Dlugo on panować nie może... nie my, to inny mu pigulkę przyprawi. Nieprzyjaciół ma dosyć, a jednego Zamojskiego za sobą. Ten, by Salomonem był, nie starczy.

Oskarżony o intencję otrucia króla, Krzysztof, zbiegły za granicę, o tem tylko myślał, jakby się wypłacił kanclerzowi, jego obwiniając o zamach jakiś podobny, choćby na samego siebie.

W listopadzie 1584 zrodziła się z tego historja, na proszowiecki sejmik wyciągnięta, ale później pokryta milczeniem. Ciemno w niej... a rzecz się tak miała:

Krzychnik, za granicą przebywający, w oczekiwaniu chwili, gdy mu brat marszałek znać da, iż choć na krótko bezpiecznie przybiec może na zjazd jakiś, aby się szlachcie okazać i obmyć z tchórzostwa, nagle przysiął do Andrzeja z językiem, iż pojmał szlachcica, który miał od kanclerza Zamojskiego zlecenie, aby jego, Krzysztofa, ze świata zgładził, na co nawet była mu dana trucizna.

Panu Andrzejowi, gdy wiadomość tę odebrał, tak się ona zdala nieprawdopodobną, iż wierzyć jej nie chciał. Pocóż się miał uciekać do tego środka Zamojski, gdy w ręku miał inne, dostateczne, aby się zbyć Krzychnika.

Tymczasem wiadomość tę z ust do ust podawano, wiążąc do niej i nazwisko szlachcica, który się zwać miał Pruski.

Upłynęło czasu trochę, pchnął marszałek od siebie zaufanego człowieka, aby Krzysztofa nawiedził i sprawę

tej trucizny bliżej rozpoznałszy, wyjaśnił. Na lekko z takim oskarżeniem wystąpić nie było można.

Gdy dworzanin marszałka powrócił, tyle tylko przywiózł, iż istotnie Krzysztof trzymał uwięzionego niejakiego Pruskiego, a ten głośno, nie brany na męki i nie zmuszany, wyznawał, iż naprzód tentowany był o zadanie trucizny podczaszem, a gdy się temu nie opierał, przyrzeczono mu od kanclerza nagrodę znaczną i sprowadziwszy go do Krakowa, Jan Dzierżek w gospodzie u Toltynowej przygotowany jadąc oddał Pruskiemu, przy czem znajdować się miał chłopiec wegrzynek pana kanclerza. Listy też jakieś Zamojskiego w tej sprawie u Pruskiego znajdować się miały.

Jak się to wydało i w jaki sposób Krzysztof pochwycił Pruskiego, który dawniej u niego służywał, to się niby później okazać miało. Tymczasem zaś Pruski znajdował się pod dozorem na dworze podczaszego i powtarzał codzień tę swoją historię, a za nim opowiadał ją pan Krzysztof każdemu, do niego przyjeżdżającemu.

Kto zaś był ów Pruski, nikt dobrze nie wiedział. Niegdyś wisiał przy dworze Krzychnika i gdy ten Wołoszyna był ułapit, co mu się potem okupować musiał za to, że siostry za niego dać nie chciał — Pruski był dozorcą przy więzniu. Zniknął potem z oczów wszystkim, jakoby na Wołoszczyznę się z hospodarem udawszy, aż zjawił się znowu z tą trucizną, ale bardzo biedny, odarty, z nosem krwawo zaczernionym od piasta, złamany, przygarbiony, ochrypły i na włóczęgę wyglądający. Opowiadał, iż dla wielkiej nędzy podjął się trucizny, ale go później sumienie ruszyło...

Krzysztof przez posła dawał znać bratu, że będzie miał bezpiecznym na sejmik do Proszowic dnia 1 listopada 1584 przybyć, gotów z sobą przywieźć Pruskiego, aby ten publicznie uczynił zeznanie.

Charaktery dwóch braci, a licząc z Janem trzech wszystkich pozostałych, acz miały rysy wspólne, bardzo się jednak od siebie różniły. Jan był tak szlachet-

nym, iż ziego nie widział i nie przypuszczał, a bracia też przed nim nie wszystko, co czynili, odkrywać mogli.

Andrzej i Krzysztof, podobniejsi do siebie, stali też w pewnej od siebie odległości. Oględniejszym daleko był marszałek, strzegąc się, aby na siebie nawet podejrzenia nie ściągnąć, nie oburzał się na to, co Krzysztof czynił, lecz obawiał się nieostrożności i fałszywego kroku. Pchnąłby on podczaszego, gdyby w tem niebezpieczeństwa nie widział dla siebie tak samo, jak niegdyś Krzychnik popychał Sainuela, nim się posługując. Przebieglejszym był podezaszy, ale dla niego wszelkie środki bez wyboru dobre były, a awanturnicze usposobienie, pokrewne Samuelowemu, często go za daleko prowadziło.

Nie bez przyczyny więc, znając go, krzywił się marszałek, słuchając opowiadania o Pruskim i o truciźnie. Wydała mu się ona niezgrabnie zmyślona na odwet za tę truciżnę, o której wzmianka była w listach Krzychnika.

Dlatego posłał na miejsce badać, co zacz był ten Pruski i jakim sposobem mógł podezaszy do niego przyjść. Z relacji zaś przywiezionej tyle tylko wyrozumiał, że Pruski dużo piwa pił, a napiwszy się --- od rzeczy prawił.

Uląkł się, aby z takim świadkiem i gadką podezaszy nie przyjechał na sejmik do Proszowic i list napisał odradzający, w którym mu to czuć dawał, że się rzecz bardzo podejrzana wydaje...

Rozgniewało to do najwyższego stopnia Krzysztofa. Odpisywać nie śmiał, bo się już na listach i na cyfrach sparzył, ale powiedzieć kazał bratu, że on też głowę ma na karku nie dla proporcji, a na rzeczy się zna i plewy od ziarna rozróznić umie.

Nadchodził sejmik w Proszowicach, na który miał przybyć podezaszy, aby okazać, że się kanclerza i jego pogróźek o gardło nie lęka.

Wszystko niemal, co się tu przygotowywało, nie było Zamojskiemu tajmem. Tak, jak wprzódy Urowiecki krok w krok niemal za Samuelem jeździł, a Boksic-

ki, domownikiem będąc, zdradzał go, teraz też na dworze pana Andrzeja były służki kanclerza, a dojeżdżali jego ludzie do Krzysztofa.

Co się tu radziło, mówiąło, gotowało, wiedziało o tem Zamojski. Z sejmiku proszowickiego wielkich się rzeczy nie obawiał, ani spodziewał, ale go wiadomość o Pruskim, o Dzierżku do żywego poruszyła. Nie zwykł był gniewać się nigdy, ani unosić, tym razem jednak, znak krzyża świętego uczyniwszy, skoczył jak młodzik, gdy posłyszał, że on miał truć Krzysztofa.

Było to wprost śmiesznem, ale razem oburzającem. Wiadomo, jak szlachta drobna łatwocienna jest i chciwa plotek, zwłaszcza, gdy one możnych się tyczą i mogą ich obryzgać... Nic to nie pomagało, że baśń była niedorzeczną, tłumy w nią chętnie wierzyć mogły, a ubrano ją tak w pewne szczegóły, w nazwiska, iż miała jakąś barwę rzeczywistości.

Dzierżek, jako żywo, nigdy w oczy Pruskiego nie widział, ledwie go znał, a co gorzej, właśnie o tym czasie, gdy miał u Toltynowej oddawać truciznę, z polecenia hetmana w Knyszynie się znajdował. Węgrzynka żadnego dopytać nie było można.

Spytany o Pruskiego Dzierżek powiadał, iż go nigdzie indziej nie widywał, krom za stołem w browarze, albo przy kieliszku u Toltynowej, pijanego, pieśni wyśpiewującego, a gdy grosza nie miał, w najpodlejszy sposób zebrzącego w imię podupadłego szlachectwa swego.

Co się tyczy przyprawiania trucizny w aptece na rogu Grodzkiej ulicy, Dzierżek się odwoływał do Mroczka, z jakiego powodu tam śledzili i badali, czy jej dostać można.

Jakim sposobem Pruski mógł wiedzieć, że Dzierżek u Fontanusa bywał, — w tem był sęk!

Wszystko to razem funta kłamków nie było warte, lecz duma Zamojskiego obrażoną była srodze i gniew przeciwko Krzychnikowi wz嚢ogł się jeszcze. Poniżaniem dla kanclerza było, że go śmiano w ten sposób nikczemny spotwarzyć.

— Mam ci poddostatkiem na podczaszego sposobów i nie potrzebuję się do takich, jakich on używa, uciekać!

To, co kanclerza chwilowo oburzało tylko, króla ją trzyło do najwyższego stopnia. Dowiedziawszy się o potwarszy tej, krzyknął, węgierskiem przekleństwem powierając swe słowa, iż mu podczaszy nie ujdzie, że go infarem i banitą uczyni, a waży się z głową ukazać, to mu ją natychmiast ściąć każe.

Przed 1 listopada posłał raz jeszcze marszałek do brata, aby przybywał, ale z Pruskiego sprawą się nie popisywał, bo ona więcej złego, niż korzyści przyniesie.

Podezaszy stawił się na sejmik... Na pierwszym kroku spytał go brat:

— A Pruski?

— Mam go z sobą — odparł podezaszy.

— Aleć go produkować nie myślisz?

— Czemu nie? Na sejmik go nie poprowadzę, ale kto widzieć i posłuchać zechce, owszem, proszę, aby dał mu ucha... Mnie przecie o truciznę dla króla obwiniono, a jabym miał nieprzyjaciela oszczędzać.

— Któz da wiarę lada opojowi?

— Trzeźwym jest i będzie, zobaczycie... a przysięga gotów stwierdzić, co mówi. Pan Bóg mi życie ratował, iż na niego, nie na innego popadł Dzierżek.

Zjechało wiele szlachty do Proszowic, aby Krzysztofa słuchać, bo już o nim wiedziano, że się ukaże i mówić będzie.

Wystąpił przeciw Zamojskiemu z mową gwałtowniejszą, niż wszystkie. Marszałek strzegł pilnie, aby słuchacze byli przysposobieni do przyjęcia, jak należy... Usposobienie też dla Zborowskich, którzy karmili, poili i wszystko na szlachtę a moc jej zdawali, było jak najprzyjańczejsze.

Czego w tej mowie nie było! Wyrzucał Zamojskiemu, że był szwagrem królewskim (sic) „niesłychana to rzecz w Polsce“, że zarazem koronę nosił, hetmanem był, żołnierzem rządził, władzę sprawował i posłuch nakazywał, a płacić mu za to musiano!

Dalej mówił, że Samuela zabił niewinnie, że jeszcze ich, Zborowskich, oskarżała o zamachy na zdrowie królewskie.

Gdy to mówił, szlachta wzdychała. Pan Krzysztof wtrącił, że wzdychać i niewiasty umieją, a trzeba było działać. Potem, gdy się zaczęło z tem wyrywać, aby na sejm jechać gromadnie, oparł się. Prosił tylko, aby wybrano posły takowe, żeby się na żadną prywatę nie oglądali.

Naostatek z wielką ostentacją podczaszy klął, palce złożył i głośno, wobec całej szlachty poprzysiągł.

— Przysięgam Bogu Wszechmogącemu i temu jego obrazowi świętemu, że się mścić będę krwi brata mego niewinnej do śmierci, nad nim i nad powinnymi jego... Wiem ci, że ten pan, jako szwagier królewski, pociągnie wiele ludzi za sobą, ale już „*pereat anima mea cum inimicis meis*“ (niech przepada dusza moja wraz z nieprzyjaciółmi myimi)...

Nie dosyć na tem — przysięgę tę powtórzył trzeciego dnia znowu i dodał: „aż krew krwią zapłaconą będzie“.

Co to znaczyło, łatwo było zgadnąć... Z Zamojskim bój o życie!

Z drugiej też strony wiedział to dobrze Krzychnik, że król zapowiadał, iż nie ustąpi, dopóki infamisem i banitą nie uczyni podczaszego...

Z Proszowic miało to groźne wypowiedzenie wojny ząb za ząb rozejść się na wszystkie strony po kraju.

Dotąd wszystko za zgodą marszałka i za wiadomością jego się działało, ale z Pruskim wcale się nie powiodło. Szlachcic, przybywszy tu dla dania świadectwa, jak pierwszego dnia z wieczora upił się, więcej już nie wytrzeźwiał. Sił mu to dodawało do ciągłego powtarzania, jak u Toltynowej truciznę mu wręczono, której on pełną krobkę podczaszem ze skruchą wręczył, jak Dzierżek mu złote góry obiecywał... Ale za każdym prawie razem inaczej tę swą powieść układał, a gdy go kto przyparł pytaniami i zmusił do oznaczenia czasu, do

tłumaczenia ściślejszego, płatał się, belkotał, a w ostatku niewiadomo, co prawił.

Najłatwo ierniejszym to nie starczyło. Szlachta odchodziła, głowami potrząsając. Z ciekawością skupiano się koło niego, odchodzono z zawodem.

Sam Krzychnik, który rachował wiele na ten swój wymysł, spostrzegł, iż z niego żadnej korzyści mieć nie będzie. Zaniedbano więc Pruskiego, który przy piwie potem drzemiał i nikt na niego nie zwracał uwagi.

Pozbyłby się go chętnie podczaszy, ale puścić lotra nie było bezpiecznie, bo mógł schwyceny, na mękach, albo i bez nich przyznać się do kłamstwa i wskazać, kto go do tego naklonił.

Nie obawiał się o siebie podczaszy, bo sam tego nie czynił, ale po nici do kłębka dojść było łatwo. Musiał więc stawić straż przy Pruskim, pilnować go i nazad z sobą za granicę uprowadzić.

Wielka wrzawa około trucizny skończyła się na niczem, nastąpiło milczenie, a marszałek, który przewidział niepowodzenie, gniewał się na brata.

Zagadnięty o to podczaszy stał chwilę zadumany.

— Słuchajno — rzekł do Andrzeja — to prawda, że z tego nic wielkiego nie wyrosło... ale ty myślisz, że małe gadanie i takie szkalowanie nic nie znaczy?... Pluń ty na wroga... nic mu się nie stanie, a no plwociny do sukni przywrzeją i plama zostanie! Jakoż, choć mało kto w truciznę Pruskiego wierzył, zdala ludzie mówili.

— Ba! jużciby tego z palca nie wyssali, coś tam być musiało... Jeśli nie kanclerz sam, ktoś z jego dworu coś zamierzał... Coś było!

I plwociny te w istocie nawet do kart historii przywrzały.

Przez dni kilka z mowami się popisywali, kto żyw chciał w Proszowicach, wszyscy przeciwko gwałtownikowi, tyranji, uciskowi, na kanclerza pioruny ciskając, a na sejm takich posłów wybierając, którzy ani panu samemu, ani Zamojskiemu folgować nie mieli.

Burza ta przedsejmowa nietylko tu, gdzie ją sami Zborowscy podniecali, ale po wszystkich ziemiach Rze-

czypospolitej grzmiała i hučzała. Na chwilę upokorzona energią króla i Zamojskiego, szlachta chwyciła pierwszą nadającą się zręczność, aby do dawnego powrócić zuchwałstwa i samowoli.

Zarówno Batory, jak Zamojski wiedzieli o tem i przygotowywali się do walki. Miał król za sobą zastęp ludzi znaczny, któremu nie na dobrej woli, ale na energii równej jego i Zamojskiego zbywalo. Ustąpić nie myśiano, owszem, walka miała ułatwić złamanie oporu i utrzymanie na przyszłość porządku.

Jak widomy znak zwycięstwa, służyć miała sprawą Krzysztofa. Podstawą do niej były listy Wojtaszka, aż nadto dostateczne do wykazania winy podczaszego.

Król stał przy tem niewzruszenie, aby z całą surowością sądzono. Zamojski nie śmiał już nawet nakłaniać do powolności.

VIII.

Pod koniec stycznia 1585 roku, choćby może nie jeden wołał owo ciepłe piwko z grzankami pod piecem w domu smoktać, niż tłuc się drogami zimowemi do Warszawy, jechała szlachta dla sprawy Zborowskich, ciągnęli panowie dla niej, bo wszystkim ona stała na myśli, jako rozpoczęta wojna, w której niewiadomo było, kto zwycięży: król ze swoją prawą ręką, owym szarakiem „*ex stercore*“ wyniesionym przez niego, czy możnowładztwo starego obyczaju.

Niepokój był w umysłach wielki, bo poza Zborowskimi stała cała przeszłość, dopominająca się praw swoich, a za królem o wilczych zębach niejasna przyszłość, cała w jedną garść ściśniętą.

Tymczasem może nie wszyscy to widzieli tak dobrze, ale wszyscy czuli, że nie o jednych panów Zborowskich chodzi. Oni sami pierwsi rzekli złowrogie: *hodie mihi, cras tibi*, godło niegdyś pod trupią głową kladzione, a dziś rzucone, jako groźba, calemu stanowi szlaheckiemu.

Drobna szlachta, chociażby była mogła i powinna stać przy Zamojskim, jako przy reprezentancie swoim, przeciw staremu możnowładztwu, nie pojmowała jasno zadania i tradycje popychały ją za Zborowskimi. Ponad wszystko różała i oburzała królewska samowola i energia, z jaką on do panowania powołany, chciał panować w całym tego wyrazu znaczeniu.

Z niepokojem i ciekawością, kto mógł, zdążył do Warszawy, gdzie już król i Zamojski czekali na senatorów i posłów. Wszystko inne bladło i nikło przy sprawie Zborowskich, którą król z senatem miał sądzić.

Już zawsze chodziło z ust do ust to pytanie:

— Jakto! król więc sami w tej sprawie zarazem ma być aktorem i sędzią?...

Na zamku wokoło kanclerza i króla ponuro było i cicho. Żadnego przepychu i okazałości... dwór skromny i niezbyt liczny, myślistwo tylko, węgrzyny ulubione, służba pańska, wozów trochę i koni, a do rozrywki i pociągania ludzi tak, jak nic. Nigdzie uśmiechającej się twarzy i wesołego głosu, ludzie surowego oblicza, chmurni, kancelarie pełne ksiąg i papierów, czeladzie sforne; — jak klasztor jakiś rycerski wyglądał ten dwór królewski.

A spojrzawszy na twarze, wyczytać było można w nich dumę, energię zbrojną, niemal wyzyskującą i przygotowanie się do rozpaczliwej walki.

Nie starano się nikogo pozyskać, nikomu uśmiechać. Król мало mówił, Zamojski gdy się odzywał, zapowiadał, że żadnych ustępstw po nim się spodziewać nie należało. Pytano o Zborowskich, którym pozwy wydać miano, a szczególnie o podezawanego, obwinionego głównie; czy przybędzie, nie wiedział nikt.

Niemojewski, co go miał bronić, ruszał ramionami i milecał. Mruczano, azali glejt dostanie.

Marszalka i podezawanego widać nie było... Chodziły wieści jednego dnia, że przyjeżdżają, że już są na Woli, że ich widziano w okolicy, że gospodę mają zamówioną, ale nie przybywali dotąd.

Przyjechał tylko kasztelan, który dotąd wiernie

stał przy królu, a z hetmanem razem wojował i dobrze się zasłużył, ale nie był to już ów dawny sługa powolny króla i hetmana sojusznik. Cios, zadany rodzinie, odepchnął go od Batorego, a daleko więcej od Zamojskiego, któremu wszystko przypisywał. Obowiązek krwi kazał mu stawać za braćmi, uniewinniać Samuela, bronić Krzysztofa, oczyszczać familję.

Wpół zabity kasztelan, pograżony w sobie, zdał się ciągle powtarzać to, co w liście do króla napisał: „bogdajby nas była ziemia pożarła wprzódy, nim się nam stała ta zniewaga”!

Na sąd straszny wyglądał ten sejm, gotujący się zasiadać w sklepionej sali zamkowej. Posłowie niespokojni pytali już zawsze, czy oni też, choć jako słuchacze, przypuszczeni zostaną, a Zamojskiego urzędnicy odpowiadali zimno:

— Jeżeli jego królewska mość z łaski swej przypuścić ich raczy!

Jechali posłowie z tem, aby głos ich zaważył w sądzie, choć w nim żadnego, prawnego udziału nie mieli; na miejscu znajdowali żelazny mur woli Batorego...

Senat z królem sam miał sądzić, a arbitrów nie potrzebowano.

Król nie starał się sobie ujmować, ani się zbliżał do nikogo; ku niemu patrzyli wszyscy. Blady był, żółty, a czarne oczy rzuciły groźne wejrzenia i coraz to podnosił głowę dumnie, jakby gotując się do walki... Kto się spotkał z jego oczyma, wzroku tego nie wytrzymał.

O sprawę nie zagadywał nikogo, krom Zamojskiego — jasną była.

Pierwszego dnia tłum się nacisnął do sali, niebarizo pytając dozwolenia; napłynęli posłowie, wtargnawszy niemal siłą, zajęli ławy... dla panów senatorów dosyć miejsca zostało.

Wszedł Batory z ręką na szabli, bo mu ona, zawsze, jakby przyrosła, spadała na tę rękojeść żelazną; wszedł za nim kanclerz, któremu krzesło za tronem zgotowano — dwaj zapaśnicy przeciwko całemu tłumowi.

Obu twarze surowe, ale na kanclerza obliczu spokój, wypracowany wolą potężną, u króla drganie namiętne nieopanowanego gniewu, który falami powracał.

Posłowie zdala wskazywali go sobie palcami, wydawał się im katem ich swobód... był wcieloną groźbą. Dotąd nie mieli i nie znosili pana, ten się nim czuł i stawił...

Na licach panów senatorów nic wyczytać nie było można; pogodnie patrzali arcybiskup i ks. biskup krakowski, świeccy panowie zdradzali niepokój.

Wśród nich wyróżniali się tylko postawą dumną i zasępioną wojewoda poznański, Stanisław z Górką, wojewodowie smoleński i połocki, w których rysach grała niecierpliwość i rozdrażnienie. Reszta ciągnęła oczyma ku królowi, szukając Zamojskiego, który w pierzach przebierał, a siedział tak napozór obojętny, jakby go sprawa wcale nie obchodziła. Malał on przy Batorym, choć go wzrostem i pięknością męskich rysów przechodził; dawny wojewoda siedmiogrodzki, Turka hołdownik, rósł tu na strasznego zapaśnika, który ponad sobą tylko Boga uznawał.

Pomimo tej groźnej króla postawy, która wrażała pewną trwogę, arbitrowie, co się naciśnieli gwałtem, a których już wyprzeć było nielatwo, szmerem i gwarem napełniali salę. Ile razy się one głośniej rozległy, widać było brew czarną Batorego zmarszczoną i z wymówką rzucane na kanclerza wejrzenie. Pytać się zdała:

— Poco ich tu wpuszczono?

Blady promyk zimowego słońca przedarł się pasem od okna na salę przyciemnioną i położył na chwilę u nóg tronu, ale wnet, jak mgłą jakąś przysłonięty, zniknął.

Marszałek Opaliński miał wystąpić z urzędu, jako instygator, ale cichym głosem wypraszał się od tego, składając nieumiejętnością i niewprawą. Potrzeba było jurysty na to, on nim nie był, żądał więc, aby go Rzeczycki zastąpił. Rzecz była umówiona; król, bo on tu

o wszystkiem sam wyrokował ostatecznie, krótkiem słowem przyzwoilił.

Pozwani Zborowscy nie stawili się. Wystąpił w ich imieniu Niemojewski, mężczyzna dorodny, pierś szersza, czolo podniosłe, postawa trybuna, oblicze nieustraszone a groźne.

Samo wejrzenie, jakim mierzył króla i Zamojskiego, dawało w nim poznać człowieka, który ani się ulęknie, ani da słowem pożyć, ani prawem złamać...

Obok rycerskiego charakteru, czuć było w tym rzeczniku Zborowskich prawnika, nawykłego ze statutami obcować i znajdować w nich to zawsze, co mu było potrzebne.

Śmiałe wejrzenie nacechowane było przenikliwością, zgadywał myśli, gdy kto mówić zaczynał i odpowiedź dawał przed pytaniem.

Król go zmierzył niespokojnym okiem. Niemojewski buty nie okazywał, ale już był tak pewien siebie, jakby już wygrał sprawę.

Spierać się poczęto o glejt dla Zborowskich; inaczej stanęć nie mogli, nie byli pewni życia. Potrzeba im było tej poręki, iż w razie nawet, gdyby ich winnymi uznano, a dekretu nie przyjęli, cali się usunąć będą mogli.

Przywodzono argumenty za i przeciw; król od początku wszystko, co na korzyść Zborowskich wypaść mogło, odtrącał. Z usposobieniem tem się nie tań, poblażania nie obiecywał.

Wśród zabieranych głosów tłum arbitrów, zalegający głęb sali, zachował się, jak na sejmiku.

Obecność króla wprędce przestała zamyskać usta i budzić poszanowanie, odzywały się głosy i śmiechy. Batory marszczył się, Zamojski zżymał. Zwrócił się ku niemu król jegomość i półgłosem rzekł po łacinie:

— Jutro precz ich wymieść, bo mi tu niepokój wnosią z sobą.

Ale groźby tej nikt nie słyszał, a szlachta po swojemu dokazywała.

Wystąpił kasztelan gnieźnieński w obronie i po stronie braci.

Postawa starego wojaka zboalałego, przygnębionego, zadumanego, który mówił naprzemiany to placzliwie, to namiętnie, na wszystkich czyniła wrażenie. Słuchano go z poszanowaniem, ale cóż ważył głos miłości braterskiej, który musiał go czynić głuchym i ślepym?

Wśród wrzawy nieustającej upłynęło pierwsze posiedzenie; król w końcu nie tańał, że mu się ono naprzykrzyło. Wyszedł, okazując zniecierpliwienie i gniew. Zamojski tak zimny i poważny jak przybył, wysunął się za nim.

Po wyjściu króla wrzawa jeszcze urosła; arbitrowie pozbierali się w gromadki, wyciągali jedni, stawali drudzy, rozprawiali wszyscy. Król im się wydał groźnym.

Oglądało się, mówiąc mimowoli.

— Nie przebaczy Zborowskim! — szeptali jedni do drugich.

Kasztelan gnieźnieński wyszedł; został się tylko Niemojewski, poseł Kazimierski i kilka nieznajomych szlacheckich chudych postaci. Senatorowie znikli niepostrzeżenie.

Z wróżb dnia tego, dwudziestego ósmego stycznia, przyszłość już było można odgadywać. Walka na próżna...

Nim się z zamku rozeszli posłowie, już im w sieńiach i podwórzu zapowiedziano:

— Jutro dla was król drzwi kazał zamknąć. Sprawa do was nie należy, a gwar dziś przynieśliście z sobą, który króla jegomością rozniewiał i zniechęcił.

Jak strzała, poraziła ta groźba posłów, którym Zborowscy wmawiali, że oni mają prawo takiej sprawie głównej nie tylko się przysłuchiwać, ale zaważyć w niej swojemi: *vox populi vox Dei*.

Butniejsi już w podwórzu poczęli się miotać.

— Nie może to być... postami jesteśmy, posłano nas tu, abyśmy *visu et auditu* przekonali się, jak się u nas sprawiedliwość wymierza. Oho! oho! nie wy-

pchną nas. Drzwi obleżemy, pójdziemy do króla, do kanclerza... Król malowanym nie chce być, a my też posły malowanymi nie myślimy.

Ale pogrózki te były próźne. Chłodniejsi odparli:

— Do łaski króla jegomości stukać trzeba, silą drzwi nie weźmiemy, a te już dla nas zaparte są.

Po mieście poniosła się sprawa ta... pójdą li posłowie precz, czy doproszą się na arbitrów?

O panach Zborowskich, krom Jana, nikt nic nie wiedział. Mówili jedni: — Blisko są, gdy glejty otrzymają, zjawią się i staną, bo się nie obawiają, niewinność ich *clariol sole*. Drudzy mruczeli: — Nieglupi się pan podczaszy albo i marszałek sam w ręce kata oddawać, choćby glejty dostali, przez prokuratora się obronią, a nie staną.

Kasztelan gnieźnieński zagadywany milczał.

Na zamku cicho było i zamknięto. Senatorowie niektórzy odwiedzili kanclerza; przyjął ich tak milcząco, jakby nie wiedział nic. Ponad wszystkim stał król...

Cheiał go łowczy wyciągnąć do lasu, odmówił. Innego zwierza miał na myśli.

Czasu innych sejmów ochoczo się rozrywano i odpoczywano po obradach, teraz patrzyli sobie w oczy ludzie i zdali pytać: Co to będzie?

Nazajutrz drzwi dla posłów stały zapatre, nie wpuszczono ich.

W korytarzach i na podwórcach niepokój wielki, żal i wstyd; wybrano poselstwo do króla.

Po niejakim oporze wpuścić kazał, ale groźno zastrzegł, aby się cicho zachowywano. Jak studentom w klasie dano naukę: *Silentium!*

Dnia tego żywiej się zawzięło.

Wojewoda poznański, Stanisław z Górką, wstał, nie oglądając się na majestat pański, i śmiało rzekł, że król we własnej sprawie sędzią być nie mógł, głosu nie miał... aktorem i sędzią prawo być mu nie dozwalało ogólne.

Batory zbladł, słuchając; jak zazwyczaj, gdy go najmniejszym słowem dotknieto, ręką uderzył po rę-

kojeści szabli... Królem był, prerogatywy sędziowskiej odebrać sobie nie dawał. Sprawa była Rzeczypospolitej, nie jego własna. Zdrajcy jej grozili.

Wojewodę poznańskiego nikt poprzeć nie śmiał, krom prokuratora Zborowskich, a król protestacji tej ważyć nie myślał, odpychał ją.

Wszystko się tak usuwało precz, co dalszemu przebiegowi sprawy stawać mogło na przeszkodzie, i insty-gator począł czytanie listów Krzysztofa, które stanowiły podstawę oskarżenia...

Własne jego pismo obwiniało podczaszego, ale do tego, co w nim stało, przybyły nowe nowiny, stare grzechy...

Podczaszy począł już za życia Zygmunta spiskować na życie ostatniego z Jagiellonów, spiskował nieustannie, zdradzał ciągle, wziął okup od hospodara wołoskiego, od Batorego czasu bezkrólewia dostał dwa tysiące czerwonych złotych na potrzeby Rzeczypospolitej, a z niemi uszedł na dwór cesarski; spiskował z Samuelem i Ciołkiem na życie Batorego, zmawiał się z wielkim kniązem moskiewskim, służył cesarzowi.

Oskarżenie było, jak kamień, przywiązyany do szyi Krzysztofa; nie mógł z nim już utrzymać się na wierzchu, utonąć musiał. Czemże go obronić kto mógł, kiedy własne listy świadczyły i potępiały?

Przyjaciele Zborowskich stali niemi, kasztelanowi łyzy ciekły po twarzy. Cały przebieg życia Zborowskich świadczył, jak byli dla króla usposobieni i jaki duch ich ożywiał. Obrona już wszelka teraz zdała się niemożliwą; szlachta pozostała milcząca, przywalona tem oskarżeniem.

Dla wszystkich jawnem było, że odeprzeć tych świadectw Zborowscy nie mogli, chyba prawnemi wybiegi, z sądu i form jego próbując się wyłamywać.

Główny głos w obronie przypadał, oprócz jurysty, który miał statutami i prawem ogólnem szermierzyć, kasztelanowi gnieźnieńskiemu, a ten sam dawniej, gdy mu król listy ręką Krzysztofa pisane ukazywał, pytając, czy pismo jego poznaje, zmuszony był przyznać

autentyczność. Cóż teraz mógł przeciwko niej powiedzieć?

Listy Krzysztofa nieopatrzne mówily wiele, wypowidały wszystko... Składano oprócz tego jakiś testament, czy zeznania Samuela, który przed śmiercią do wszystkiego się przyznawał i spiskom z bratem nie przeczył.

Lecz coś w tych Samuela skryptach być musiało osłabiającego ich znaczenie, bo niewiele o nich mówiono.

Z oskarżenia wychodził szczególnie podczaszy i Samuel jako dwaj wrogowie króla, którzy ustawicznie na życie jego nastawali.

Ciołek i Samuel w Krakowie chcieli z ptasiej rusznicy strzelać do niego. Zborowski później szukał miejsca w lesie do zasadzki. Krzysztof sam wprawdzie nie porywał się do czynu, ale do niego podżegał. Oprócz tego, gdy król z wielkim kniązem moskiewskim wojnę wiódł, on się z nim zmawiał, pisał do niego, przysięgał mu służby wierne, przesiadywał na dworze cesarza...

Na marszałku nie ciążyła tak wyraźnie winna jawną, ale stosunki jego z braćmi, zjazdy i umowy w Złoczowie, po innych miejscach dowodzily, że trzymał z nimi, jedno myślał i nie odwodził ich od zamachów.

Na Janie jednym nie było skazy, nie mieszano go też wcale do sprawy braci, ale on sam dobrowolnie przy nich stawał... Na obronę co tu wywieść było można? Chyba tylko starać się zyskać na czasie. Żądano dylacji, odroczenia...

W ciągu tych rozpraw król był ciągle przytomny. Słuchał, milczał, spoglądał groźno. Wielu rozpraw po polsku rozumieć nie mógł i muśiano mu je tłumaczyć. Potrząsał głową obojętnie. Co tu ważyły słowa i subtelnego wywody, winna leżała jak na dłoni. Batory był swojego, pewnym!

Wobec tego upokorzenia nieprzyjaciela, bezpieczen, ani się rozpogodził, ani złagodnił.

Ilekroć żądano ulgi w formach, odmawiał... odro-

czenia nie chciał dopuścić. Prędko i stanowczo musiała się rzecz rozstrzygnąć. Przy nim i Zamojskim musiało być zwycięstwo; nic nie pomagały wykręty i wybiegi prawne.

Kasztelan gnieźnieński musiał jednak stanąć w obronie. Zadanie było trudne, prawie nie do podzwignięcia. Co miał powiedzieć przeciwko własnoręcznym listom Krzysztofa? Prawda, charakter i pismo były do Krzychnikowych podobne, ale czyż pisma sfalszować i podróbić nie można? Wszak znano powszechnie Dymideckiego, który rękę króla Stefana tak doskonale naśladował, że jego pisma sam on od własnego rozpoznać nie mógł.

Jan dawał do zrozumienia: *id fecit cui prodest!*

Dowodzić nie mógł fałszerstwa, ale je przypuszczał, bo braci znał z innej strony, bo zdającami ich nie uznawał; wiedział tylko, że prześladowani chcieli się oba usunąć na Maltę i kraj zupełnie opuścić.

Wszystko to niewiele zaważyć mogło obok brzemienia, jakim instygator obciążył Zborowskich.

Naostatek ciężyło na marszałku i na podczaszym to nawet, że mimo glejtów nie ważyli się sami stawić przed sąd. Pytano o nich codzień, gdzie byli? — Nikt nie wiedział; o podczaszym twierdzono, że się zawsze schronił na cesarską ziemię. Marszałek też się nie ukazał, choć daleko mniej był obwinionym i narowni z Krzysztofem potępionym być nie mógł.

Reszta sprawy już formą tylko być mogła. Król się widomie niecierpliwił; jednego dla choroby na sądy nie przyszedł, inne zeszyły na długich, a daremnych wywodach niewinności. Czas upływał.

Na obliczu królewskiem z każdym dniem dobriniejszą malowało się zniecierpliwienie. Czasem nie słuchał i nie pytał, siedział wpatrzony w ziemię i drgał tylko, gdy silniejszy głos go obudził.

Tak samo Zamojski w swych papierach przebierał, mało albo nic się nie odzywając, nie mieszając z dobrą woli, czuł się niepotrzebnym.

Po senatorach można już było odgadnąć, za kim

staną i głosować będą zmuszeni. Trzej tylko, o których mówiliśmy, z panem wojewodą poznańskim na czele, widomie ze Zborowskimi ciągnęli.

Postowie, co tak z początku halaśliwie się znajdowali, siedzieli teraz, jako świadkowie, lecz twarze im się powydlużały, czola pomarszczyły... stracili wiele z pierwszej swej buty i śmiałości. Przygniotły ich dowody, czytali też z twarzy senatorów, że Zborowscy sprawę przegrają.

Najpobłażliwszy z sędziów nie mógł oczyścić podczaszego, tak się on sam opłatał i związał.

Na mieście, gdy się dzień skończył, szlachta nie bujała po dawnemu, nie było się czem weselić. Król zwyciężała — Zborowskich *hodie mihi, cras tibi*, brzmiało głośniej, niż wszystko. Wolnościom szlachty i panów przychodził koniec!

Począwszy od Zborowskich, Batory musiał iść dalej i nie dopuścić, aby mu kto stawił opór.

Przyszłość stawiła się czarno i posępnie. Do Zamyskiego nikt się nie zbliżała, nikt go nie szukał, on też nikogo.

Batory nawet o ulubionych łowach zapomniał, nie dawał się w las wyciągnąć. Sokoły i psy stali pozamykane lub z dozorcami swymi wychodziły tylko na przechadzki.

Warszawa była smulną, a panom posłom zaczynała się stawać niewygodną i nudną.

Rola posłów, o których wybór tak nalegał Krzysztof, bo na nich rachował, stawała się coraz trudniejsza, a raczej schodziła na weale nieznaczącą. Domagali się oni, aby przysłuchiwać się mogli; wpuszczono ich,

Pozostawało panom senatorom objawić zdanie, a królowi na mocy jego i własnego przekonania wydać wyrok. Że Stefan surowo miał skarcić zdrajęcę kraju i zamach przeciwko sobie, wiedzieli wszyscy.

Posłom nie pozostawało nic, tylko się rozmówić z panami senatorami i okazać im, że oni wraz z innymi starać się byli powinni wyrok ostateczny zlagodzić, odroczyć, słowem nie potępić podczaszego i nie zabić

imiienia Zborowskich. Zgłosili się o to uż do króla jego mości, dając krokiem tym uczuć, iż i oni czuli się obowiązani coś czynić.

Król lekceważąco odpowiedział. Pozwolił posłom znieść się z panami senatorami, ale żeby to żadnego charakteru urzędowego nie miało i znaczenia nie nabralo,kazał im oznajmieć, że w sali obrad gromadzić się nie dozwala. Mogą sobie w prywatnych mieszkaniach, pojedynczo mówić i naradzać się z nimi.

Odpowiedź ta miała znaczenie jasne:

— Nie mieszkacie się do tego, co do was nie należy... Możecie płakać i użalać się nad losem Zborowskich, ale ciosu od nich odwrócić nie potraficie; urzędowanie zaś, na sali, mieszkać się do sprawy nie macie prawa...

Posłowie odeszli odprawieni z nieczem. Śmielsi z nich odzywali się butnie, ale nie mogli począć nic. Król był w swojem prawie.

Po kątach, po klasztorach, refektarzach, gospodach szlachta się zbierała do swych senatorów.

— Nic więc dla Zborowskich nie uczynicie?

— Nie możemy nic.

Naciskano z jednej strony, odpierano z drugiej. O królu mówili wszyscy, że nie ustąpi. Czegoż się więc miał spodziewać podczaszy? Co najmniej dekretu takiego, jaki ciężył na Samuelu — wywołać go miano... Ale banieja Samuełowa nie ściągnęła za sobą infamji, a tu... zażartość króla i moc dowodów winy kazały się nawet osłatecznej kary, równającej głównej, spodziewać.

Kto ze dworu od kanclerza mógł się co dowiedzieć, przynosił tylko najgorsze zapowiedzie. Infamja go czekała... *Crimen lesae Majestatis*.

Spojrzawszy na oblicze Batorego, ani się było można spodziewać, aby ten mężczyzna nieubłaganego serca mógł się ulitować. Wrogom odplacił nienawiścią najpotężniejszą; ani chciał, ni umiał się chrześcijańskiem uzuнием usmierzać.

W ostatnie dni rosło poruszenie w umyslach, a juryści mu pokarmu dostarczali, dowodząc, że stare prawa i statuty, szczególnie przywilej Aleksandra poszanowane nie były, że sprawę sądzono nie obyczajem i formą zwykłą, ale samowolnie i nieprawidłowo.

Mileczeli na to panowie senatorowie, więc do posłów należało zaprotestować przeciwko winowajcom na korzyść królewskiej władzy. Podejmował się tego Kazimierski.

— Słyszysz — mówili doń, śmiejąc się, drudzy — widziałeś już raz, jak się król jegomość za kord pochwycił; powiedz mu co, a zrozumie li, znowu się powie za żelazo, bo ono u niego argumentem jest najpotężniejszym.

— A ja to korda u boku nie mam? — odparł Kazimierski. — Albo to ja nie od tych idę przodków, co za Jagieły pergaminy w izbie na szabłach roznosili w przylomności majestatu?

Dosyć było Kazimierskiemu w ten sposób bębenka podbić, aby pewno jak najgwałtowniej wystąpił.

Tymczasem odkładano ostateczne ferowanie wyroku, choć go wszyscy czytali na czole Stefana i w ponurem obliczu Zamojskiego.

Przyszło do głosowania... i stało się to, czego oczekiwano, krom trzech senatorów świeckich, wszyscy inni znajdowali podezawanego winnym, występek jego dowiedzionym.

Król coraz bardziej rozgorączkowanym zjawiał się na sali, coraz niecierpliwszym, coraz groźniejszym... Za szabłę brał i ledwie go Zamojski wejrzeniem mógł mitygować.

Sprawa, poczęta zaraz pierwszych dni sejmowych, przeciągnęła się do jego zamknięcia, uznano Krzysztofa winnym... Świadkowie musieli jeszcze przysięgać.

Król z rozdrażnienia zachorował. Wrzawa i protesty dokola rosły. Wołano o zwłokę pod pozorem choroby oskarżonego; nie dopuścił jej król dlatego, że osobiście i tak nie stawał.

Zamojski, przy jednym ogniu swoja też pieczęć

przystawiwszy, pozwalał o potwarz niedowiedzioną, jakoby przez Pruskiego podezazego truę zamierzał.

Dnia 12 lutego marszałek koronny czytał:

„Przeto tego Krzysztofa Zborowskiego król jegomość poczciwości odsądzać raczy i wszystkie prerogatywy, i urzędy, i wolności, coby stanowi szlacheckiemu należały, od niego odejmuje, a bezecnym go czyni, a nie jedno jego, ale i te wszystkie, którzy mu *consilio, auxilio, favore* (radą, pomocą, sprzyjaniem) pomocni byli, albo w domach i majątkach swych przechowywali, taką winą karać, *cum confiscatione omnium bonorum mobilium et immobilium* (z zaborem wszelkiegoienia, tak ruchomego, jak i nieruchomości) i nie zaniecha król jegomość dać mandatów do wszystkich starostw, aby był iman i na gardle karan; ażeby wiadomość tego wszędzie doszła każdego, przyznawa król jegomość woźnego, aby publikować to po wszystkich placach wedle prawa. A iż też miał sprawę z panem kanclerzem o potwarz, którą ułożywszy — nie dowieďł, o co dekretem jegomości był skazan rewokować to, to jest wedle prawa odszczekać, *in defectu* na dnie wieży rok siedzieć, jako o głowę i tak płacić, to w dość nieuczynieniu ma go infamią skarać król jegomość, iż temu tedy dość nieuczyniwszy dekretowi infamji podległ, a pod tę poenę podpadł, tego bezenego Krzysztofa Zborowskiego znowu król jegomość czei odsądza; w takiże sprawie, takiej poenie podpadłszy i od pana Dzierżka, po trzeci raz go król jegomość czei odsądza“.

Po trzykroć więc infamem obwolany był Krzysztof, a wyrok na niego sroższym był, niż ów doraźny na Samuela.

Nie było litości, nie było dylacji, nie pomagała choroba, nie chciano słuchać obrony.

Milczeniem grobowem przyjęto czytanie wyroku. Posłowie patrzyli po sobie. Prawomocnym był; do Boga tylko odwołać się było można od niego.

Lecz jakby to wszystko nie nasyciło jeszcze ani

króla, ani Zamojskiego, król patrzał posępnie i jeszcze bardziej wyzywająco, kanclerz milczał.

Posłowie się nie odzywali dnia tego. Sejm miał się zamknąć.

Wyrok na Zborowskich, bo choć imię Andrzeja objęte w nim nie było, stał on w nim dotknięty, wymieniony, potępiony, uczynił wrażenie straszcze.

Wieczorem wszedł kanclerz do króla, który samotny siedział w sypialni, jeszcze na żółte chorując zburzoną. Buccella stał przy nim, lekarstwo dawał, ale co innego radził: rozrywkę, ruch, polowanie!

Król głową potrząsał.

Na dwóch zwycięstach triumfu nie było widać, tak jak ani na jednej twarzy nie można było wyczytać radości z tego dekretu. Nie zaspokajał on nikogo, bo Stefan i kanclerz wiedzieli, że Zborowscy-banie będą straszniejsi niż gdyby spiskowali w domu. W spadku po nich zostawała szlachta zburzona i znichęcona do króla.

Przyszło nareszcie zamknięcie sejmu. Wystąpił Kazimierski w imieniu posłów, mówiąc od całego ich zgromadzenia, co przemówieniu wagę nadawało. Mówca był może nie dosyć jasny i pan siebie, aby obmyślił rzeczą swoją, ale miał nieustraszoną odwagę.

W imieniu starych praw i porządku uderzał na innowacje samowolne, na nieposzanowanie tradycji; mówił otwarcie w oczy królowi, że w sprawie Zborowskich nie poszanowano praw i przywilejów, protestował głośno, gwałtownie, nie tak oratorsko i wymownie, jak gorąco i zuchwale.

Oko w oko, z ręką podniesioną, nie unikając wejrzienia króla, wypowiedział jasno wielki żal, jaki miała szlachta-posłowie do pana.

Batory słuchał i bladł, drżał i na jego twarzy po-faldowanej coraz dobrzej piętnowały się gniew i duma.

Wstrzymywał się. Arcybiskup gnieźnieński, który z niego nie spuszczał oka, drżał także i zdawał się częściej stanąć pomiędzy zapaśnikami, którzy się wy-

zywali wzrokiem. Ale Kazimierski był spokojny, Batory nie panował nad sobą; poseł jurystą, król się czuł żołnierzem. Pierwszy z nich nawykł do pocisków słowa, drugi na kule przedzej, niż na obelgi wystawić się był gotów.

Gdy Kazimierski dokończył, porwał się król z siedzenia i wybuchnął... Oto były słowa jego, jak je świadkowie dla potomności spisali:

„Nie jestem służalcem, ale człowiekiem wolnym z urodzenia, ani mi też wprzód, nimem w te kraje zawitał, brakło na pożywieniu i odzieży. Miuję ja wolność waszą i takowej za wolą Boską przestrzegać będę, lecz też nigdy nie ścierpię, by moja swoboda w czemkolwiek naruszoną, uszkodzoną, lub najmniej ubliżoną została! Z waszego własnego żądania i nalegania obrany za króla waszego tutaj przybyłem, a samiście koronę na głowę moją włożyli, jestem więc królem waszym, nie zmyślonym ani malowanym, ale prawdziwym i prawnym, chcę przeto rządzić i panować, i nie dozwolę, aby kto nadę mną panował. Jesteście stróżami waszej własnej wolności: nie chcę więc, abyście byli moimi klechami, strzeżcie zatem i brońcie waszych wolności, lecz dajcie na to pozór, aby ta wolność wasza źle użyta nie była. Rzecz godniejsza pociąga za sobą mniej godną, pęta podwójne bardziej wiążą, a każda moc z rozerwaniem węzła słabnieje.

„Celem każdej rzeczypospolitej jest pożytek ogólny i dobro narodu, o które się usilnie staram, nie zważając na głosy złośliwe.

Panowie senatorowie! albo mi uczyńcie sprawiedliwość, albo mi rozwiążcie te ręce, któreście mi prawami waszemi związali, a ja się pomszczę krzywdy mej“.

Król, kończąc, tak wzruszonym był, że się chwycił do korda, nie już jak wprzód, grożąc im, ale gotów go obnażyć, co ujrzał Karczewski, arcybiskup gnieźnieński i inni senatorowie przypadli, otoczyli, rzucili się przed nimi na kolana, starając się wielki gniew ukoić — i król powoli ochłonął.

Walka była nie doszła, odłożona, ale pokój się spodziewać nie mógł nikt.

Mrużąc, szemrząc, napoły wylekła, nawpół obrażona szlachta szła z zamku preez, gdy kanclerz i mała gromadka króla zwolna do jego pokojów odprowadzała.

Strwożyło się wielu, ale serce nieczyje nie nakloniło, umysł nie uspokoił; postępowanie było zbyt gwałtowne z ludźmi, nienawyklymi do niego oddawna.

Ktoby był wówczas przewidzieć mógł, że ten Zamojski, co tu za królewską władzą i w jej obronie stawał, wkroćce przeciwko następcy Stefana z tymi samymi wiehrzyceielami w jednym wystąpi szeregi!

Nieprędko potem owe dekrety na Zborowskich zdjęte z nich zostały.

IX

Gdy się to działo, coraz podnosił głowę Wojtaszek, bo już wkroćce panów Zborowskich i ich przyjaciół nie miało stać, a on, oswobodzony od prześladowania, mógł się, jako chciał, po świecie obracać.

Tytuł Intasty jego królewskiej mości dobrze mu się nadawał, tyle tylko niewygodnym był, iż wiązał go do miejsca i dworu. W Krakowie się teraz na to nie skarzył, bo mu tu nikt nie nie mógł uczynić.

Nie ważyłby się żaden Stadnicki, nie myśleli o nim inni, a choć czasem spotykał Włodkową, nie obawiał się ani jej, ani ludzi. Ciecho się to wszystko przesunęło.

Włoski więc kapelusik z piórkiem włożywszy na głowę, której włosy trefił starannie, z litnią na plecach, wybierał się do miasta i po znajomych domach, chętnie przyjmowany, piosenki śpiewał, albo wygrywał na strunach cudne rzeczy. Driwiono się biegłosci i wynoszono go pod niebiosa.

Dziewczęta, gdy ulicami przechodził, długo za nim, uśmiechając się, patrzyły i wzdychały. Śmiały byt i nie ustępował przed nikim.

Gdy go rozpytywano czasami o pochodzeniu, plót baśnie osobliwe, nie przyznając się do habitu, który nosił, do chleba pauprów, który jadł, do zdrady, jaką na Samuela dokonał... którą Krzysztofa i Andrzeja na wygnanie skazał.

Triumfował może w duchu, ale pociecha a duma z odniesionego zwycięstwa zmieszana była z goryczą.

Sam nie wiedział, czemu i złego pana, którego nie nawidził, i tych ludzi, jakich tam znał koło niego, nawet głupiej Motrunki, co go tak kochała, żałował, a gdy się czasem o tej przeszłości zadumał, siedząc na ławie w antykamerze, to mu lutnia niepostrzeżenie wyślizgiwała się z ręki i padała na ziemię, inni lutniści śmiali się z niego, a on gniewał się i burecał.

Czasem wśród pieśni coś mu się przypomniało, ukłuło w serce, zaciemniło oczy, głos odebrało.

W nocy we śnie zawsze tylko widywał swą przeszłość, nigdy teraźniejszości. Żył tak, powiedzieć było można, żywotem dwoistym: we dnie na dworze króla, w nocy — na dworze Zborowskiego! Sen go w przeszłą znowu rzucał niewolę, a w nim odnawiało się, co przeżył i poplątane dusiło go zmorą.

Tam on nieszczęśliwym był, prawda, ale kochał i kochali go czasem, wszyscy mu byli swoi, a tu nikt nań nie zważył, był obcy wszystkim, nienawiści nawet nie obudzał, a i taby była lepsza od tego, iż go nie widziano, nie rachowano, nie słuchano.

Byłoż to życie?

Wojtaszek myślał, iż sobie jakieś nowe zrobić trzeba, lecz by je począć, gdzieś musiał jak pajak nitkę przylepić do ściany i snuć przedzę i czatować.

Inaczej on życie rozumiał. Błędził tak i ziewał. Czasem znudzony, szedł gdzie do gospody i kazał dawać wina, pił sam, upijał się, śpiewał, szalał, zasyпал. Wstawał potem rozbity.

Na ładnej też jego twarzy ten rok wydeptał przedwczesne marszczki i pomalował ją żółto. Skórę obciągnął na kościach ciasniej, a kości stały się wydatniejsze.

Gdy się przeglądał w zwierciadelku, które zawsze przy sobie nosił (skradł je niegdyś Anusi), widział, że się zestarzał, a czuł się jeszcze tak młodym!

Chewał coś począć, ale sam sobie zostawiony — nie umiał. Przyszedł mu na myśl wreszcie Węgier. Cobar, który zawsze jeszcze był przy królu, i gdy z nim przyjechał do Krakowa, Wojtaszek się stawił raz u niego.

Nie przypominał go sobie nawet z początku.

— A toś ty jesteś? — rzekł.

— Tak, miłośiwy panie, — odparł, z nogi na nogę przestepując, lutnistą — przyszedłem do laski waszej. Trwam, jak widziecie, na dworze; honor to dla mnie, że się zwę lutnistą i śpiewakiem jego królewskiej mości, ale mnie tu nikt nie potrzebuje, ani słueha. Drużby muzycy koszyki plotą i strzały strugają, nie mając co czynić, mnie też nudno, a młodość uchodzi.

— Czegoż ty chcesz? — odparł Cobar posępnie. — Jurgielt ci placą, barwę ci dają, jesz z dworskiej kuchni.

Wojtaszek się poruszył, jakby nie wiedział już, jak tłumaczyć.

— Chcesz li ode dworu iść preez? — zapytał Cobar. — Nikt cię nie trzyma, ale patrz, abyś tego nie żałował, panów, co by lutnistów potrzebowali i placili, jest niewielu. Cóż poczniesz?

Wojtaszek kapelusik miał w ręku.

— Nie wiem, co począć, ale tu z nudów i próżnowania mało człek nie kona... Trzeba iść w świat! Trzeba w świat!

— Ufasz, widzę, w to, że Zborowskich już niema i nikt cię nie ulapi; ale przyjaciele ich żyją, a o tobie pamiętają, żeś ich na infamię dał i na wywołanie...

— Oni dziś nic nie mogą, a sami się w mysie dziury chowają muszą — rzekł Wojtaszek.

— Więc ci się swobody chcesz? — odezwał się Cobar. — A! no, myślę, że ją łatwo jego królewską mość da, ale jeśli sądzisz, że wiatyk dostaniesz szezodry, mylisz się, Wojtasiu. Pan jest oszczędny, a wojny nas

dużo kosztują. Móglbyś u kanclerza co wyprosić, boś i jemu przysługę uczynił, ale on także szczodrym nie jest do zbytka.

— Popróbuje, — rzekł Wojtaszek — a już miłości waszej tylko o odprawę i świadectwo dopraszać się będę.

Cobar ruszył ramionami i odprawił go do pojutrza. Stawił się Wojtaszek, ale Węgier się przyznał, że zabył mówić o nim.

— Przyjdź jutro — dodał.

Przywłókł się nazajutrz, było za wcześnie, a potem Cobar i pan do Niepolomic odjechali.

Znowu więc na ławie siedząc, ziewał Wojtaszek i czekał, a nudził się straszliwie... a zamek mu już tak dojadł, że na jego mury patrzeć nie mógł.

Włóczył się po ulicach... Jednego dnia spotkał ojca Czesława. Mnich go poznał. Chciał mu ujście z drogi, za późno było.

— A co, zdradliwa ty żmijo! — odezwał się do niego dominikanin — a co? Jesz chleb w krwi maczany, smakuje ci? hę?

Wojtaszek nic nie odpowiedział, lutnię trzymał właśnie w ręku, brzdąkał po strunach i czekał obojętnie, aż go mnich minie.

O. Czesław patrzał ze wzgardą na lutnistę.

— Samuel choć w chwili zgonu skruszon był — rzekł. — Kto wie, może mu Pan Bóg przebaczy, a ty?

Wojtaszek w bok spoglądał.

— Ja ci powiem, co cię czeka — rzekł ksiądz. — Ty zginiesz marnie... w tobie dusza dawno zgnila!

I poszedł.

Lutnista ruszył ramionami i zamruczał:

— Klecha obrzydły!

Obejrzał się na niego. O. Czesław szedł spokojnie, ręce w rękawy pozakładawszy. Stawał czasami, witał, mówił coś i mijał przechodzących, aż wśród nich zniknął.

Jednego dnia, gdy się tak Wojtaszek włókł Grodzką ulicą, spotkał oko w oko Borowskiego, ale nie był to

ten Borosio od sokółów, którego Samuel tak lubił: zbiedniał, wydał się i wychudł na trzaskę, a nogami włókt, bo co ciało całe straciło, wszystko do nóg mu poszło. Te były, jak klody; kijem się podpierał, co chwilę stawał i dychał.

Poznawszy Wojtaszka, jak wróśl w ziemię i stanął; na złość mu lutnistę zbliżył się do niego.

— Czolem tobie, Borosiu! A co? a co? nie stało Samusia... Daleś go wzięć, sam drapnawszy... cóż teraz poczniesz? Na dziady ci pod kościół, na dziady!

— Kiedy Zborowscy głowę dają, co za dziw, że Borowski na dziada zejdzie, — odparł, trochę się ozywiając, biedaczysko — to tylko Wojtaszkom, jak kotom się dzieje. Żeby padli i z wieży, zawsze na nogi!

Wojtaszek rozdrobuczał się.

— Wiesz, jam królewski sługa, a ty?

— Ja nie znam.

— Cóż robisz?

Borowski nie odpowiedział.

— Jest tu was dużo takich niedobitków, jak ty? — pytał Wojtaszek.

— Nie znam nikogo.

— A na Franciszkańskiej ulicy?

— Pusto dom stoi... kto w nim ma być?

— Cóż z Olesiem się stało? — ciągnął Wojtaszek.

Borowski, jakby się uląkł tego wypytywania, nagle zamilkł.

— Nie wiem — rzekł, gdy mu Wojtaszek pytanie powtórzył.

Szydersko i złośliwie zmieniła się twarz Wojtaszka.

— A z Anusią?

To zapytanie ponfale, bez poszanowania córki pana, oburzyło Borowskiego i burezyć coś począł, a kij podniósłszy, cheiał iść dalej.

— Cóż? I gadać ze mną nie możesz?

— A poco? — odparł Borowski.

Na całe gardło i bez przyczyny począł się śmiać Wojtaszek... i poszedł w jedną, a Borowski w drugą stronę.

Biedny stary, choć może zgrzeszył przestrachem w pierwszej chwili, odpokutował za to srodze. Dręczyło go sumienie, pokoju nie miał. Dawali mu litościwi przytułek w domu na Franciszkańskiej ulicy, tam się tulił, a żył, jak te ptactwo, które żywą opatrzność Bożą. Widok Wojtaszka nawskroś go przejął; pytanie o Anusię przestraszyło.

Powlókł się do domu.

W dziedzińcu właśnie stały kocze i niewiasty z nich wysiadały. Poznał Włodkową i Anusię. Choroba uczyła go bojaźliwym.

— Kto wie, — rzekł sobie w duchu — poco ten złoczyńca pytał o naszą Annę? Zbój jest...

Powolnym krokiem przysunął się do ganku. Poznała go Anusia.

I w tej rok jeden wielką uczynił odmianę. Wyrosła, zmężniała, wypiękniała, a ruchy, głos i wejrzenie miały tak przypominające ojca, że Borowskemu, patrząc na nią, powieki nabrzmiały.

— Borosiu! — zawała do niego — tyś to, biedaku?

— Janici, paniusiu moja, ale nie Borowski dawny, tylko już ono chłapeć, który z niego pozostał.

I począł, nogami wlokąc, iść ku niej.

Stała i spoglądała na niego zamyślona; była to okruszyna przeszłości, po której ona płakała.

Przywlókłszy się, oparł o słup przy ganku, zdjął czapczynę i patrzał na nią przez łzy, jak w tęczę.

— A! paniusiu, paniusiu! — odezwał się — gdybyście wy wiedzieli, kogom to ja spotkał i mówił z nim?

Wzrokiem tylko wyzwalał go na odpowiedź Anna.

— Złoczyńce tego, Wojtaszka! — zawała Borowski. — Śmiał zdrajca zbliżyć się do mnie! Śmiał mówić!

Słów mu już nie stało.

— A! gdybym siłę miał! — rzekł Borowski.

— Jest tu? — złamanym i drżącym głosem spytała Anna, bledniejąc.

— U króla na dworze!

— Mówili, że znikł, że go nigdzie dopytać nie mogli — dodała córka Samuela. — Ty mi dobrą nowinę

przynosisz, Borosiu. Jest tu? Wszak my z nim jeszczemy nie skończyli rachunku!

I nagle uskoczyła przez próg do domu, bo więcej już mówić nie mogła, łzy ją dławily.

Gdy ciało nieboszczyka Samuela do zamku Spytków i do grobów ich wieźć miano, wszyscy stali otaczając trumnę, a marszałek Andrzej przemawiał do tłumów... Anna też w pierwszym rzędzie oczy zaplakane tuląc, sparta na ręku starej sługi — szlochała. Jedna jej ręka zwisła bezładnie spoczywała na sukni żałobnej. Nagle uczuła, że jej ktoś w dłoń ciśnie węzelek i posłyszała głos szybki, nieznany nad uchem:

— Ojciec ci to przesyła... Zmoczona była w krwi jego!

Nim Anusia, oczy odsłoniwszy, obejrzała się, aby zobaczyć, kto jej to oddawał, już opończą i żałobnym kapturem okryty mężczyzna był o kilka kroków, cisnął się precz i znikł w tłumie.

Trzymała w ręku coś zawiniętego w chustę białą, a gdy ją rozwijała, zobaczyła ową znaną sobie, jedwabną, którą Samuel miał w podarku od chana perbekopskiego sztyt. Krzyknęła, ujrzała ją, bo cała sztywna była i czarna od zaschniętej na niej krwi. Z tą chustą ojciec dzieciom zemstę przekazywał.

Dlaczego nie oddano jej Oleśniowi?

Anusia przycisnęła ją do piersi, całowała, płacząc, z nią szła całą drogę za pogrzebem, nie pokazując bratu, z nią klęczyła przy trumnie ze zwłokami, gdy ją do sklepu spuszczać miano; a wreszcie przy ołtarzu przysięgła, cisnąć ją, pomstę zabójcom ojca.

Oleś wcale o niej nie wiedział.

— Mnie ją ojciec przekazał — mówiła do siebie. — On ma inne przeznaczenie, ja tylko zemstę za ojca. Oddam mu ją, jeśli umrę, nie spełniwszy, com powinna.

Od tej chwili Anna nie zdjęła jej z piersi ani na chwilę, a gdy płakała po ojcu, moczyła ją Izami.

Ale dziewczynie, kobiece łatwiej zemstę poprzyściąc, niż ją dokonać.

Teraz, gdy jej Borowski o Wojtaszku oznajmił, chustka zapiekła ją na piersiach, poruszyła się, jakby głos z grobów usłyszała:

— Ten moim zabójcą!

Na kimże się słuszniej mścić mogła, jak na nim! On był sprawcą!

Chodziła przez wieczór cały z tą myślą, powtarzając sobie:

— Krew ojca woła o pomstę nad nim!

Nazajutrz zerwała się rano. Szukała ludzi, mierzyła ich oczyma, wybierała, dumała, — wtem się jej nastączył Luzicki.

— Chodź za mną — zwołała do niego, wiodąc z sobą żywo do swej izdebki.

— Kochałeś pana? — poczęła prędko, zwracając się do stojącego w progu. — Prawda? kochałeś go? Płacziesz po nim? Wiesz, kto go wydał i zdradził? Darmyż my żyć mu i chwalić się, że pokonał Zborowskiego, nikczemnik ten, Wojtaszek? — On jest tu! Szukaj sobie pomocników, wymyśl sposób, ale go zabić potrzeba... tam pod Lubranką, gdzie ojca ścieśto... i ciało rzucić, aby je psy rozszarpały!

Mówiła cała drżąca; Luzicki słuchał, chwytając wyrazy i powoli wyrozumiewając, czego po nim wymagała.

Anusia po kilka razy powtórzyła mu:

— Zabić go! zabić!

Stary sługa, zwiesiwszy głowę, dumał, nie odpowiadając jeszcze.

Anusia mówiła ciągle:

— Służy u króla na dworze, ale z zamku go łatwo wywabić można. Alboż na śmierć nie zasłużył? Czyż my tak już slabí jesteśmy, że jednego nawet nie zmożemy?

Luzicki był już przyszedł do siebie.

— Poczekajcie mało, paniszu moja, — rzekł, wąsa gładząc — dajcieno mi się rozpatrzeć. Ja się nie-

tylko jednego, ale i dziesięciu nie złknę, ale potrzeba się tak sprawić, aby śladów na Zborowskich i ich służach nie było. Dajeje mi czas. Nikt się o niego nie upomni, nawet król, bo to wiadoma rzecz, — zdrajca-mi się posługuje, ale ich nie żywi i nie miluje. Stanie się po waszej woli, ino... cichol

Anna zbliżyła się do niego.

— Co mam pieniędzy, portugaliów, maneli, kana-ków resztki po malec, oddam wszystko! Ja tego nie potrzebuję, a wy ludzi zapłacić musicie. Pożyczę od Włodkowej, wezmę od Stadnickich. Olesiowi o tem ani słowa, on wiedzieć nie powinien. On do czego innego przeznaczony, na nim przyszłe odrodzenie domu naszego.

Palec polożyła na ustach, oglądając się dokola. Luzicki malo co już słuchał, tak był tem przejęty, co na niego spadło.

Pomieścić się na nieenocie Wojtaszkut!

Wszyscy oni tego pragnęli, serce mu stare było po młodemu, dłoń drgala... Ukląkłby był przed tą Anusią, tak mu się wydała do ojca podobną, godną jego.

— W niej jego gorąca krew plynne — szeptał, wy-chodząc.

Luzicki odziałał się potem zaraz paradnie, nabyły dobrze worek wsunął do kieszeni i poszedł na miasto. Pytala o niego później Anusia, ale nikt go nie widział, a nazajutrz odjeżdżała musiała. Z rana, gdy już wozy staly, zawołano go do niej.

— Luzicki — rzekła, oddając mu worek — ja je-chać muszę. Coś ty zrobił?

— Jedźcie z Bogiem, paniusiu, — odparł spokojnie sługa — jam jeszcze nie nie zrobił, ale ci się klnę na pamięć nieboszczyka: stanie się, jakoś rozkazałal Czas na to mieć muszel!

Zamilkł nagle i powtórzył:

— Jedźcie z Bogiem. Nawet dobrze jest, że poje-dziecie, wam tu być nie potrzeba.

— Pewnym jesteś swego? — spytała.

— Albo ja, albo on, — rzekł Luzicki lakonicznie —

ale Pan Bóg zdrajcom nie pomaga... Krew za krew
być musi, aby pan w grobie pomszczony spoczywał.

Łzy mu płynęły z oczów, rozgorzał cały, pokłakł
przed panienką, złożył palec na palec i krzyknął z za-
palem:

— Chyba żyw nie będę, jeśli nie zginie!

Anusia tegoż dnia wyjeżdżała musiała z Włodkową, która wieleco się o jej los troszcząc, nie doczekawszy końca żałoby, męża jej szukała i koniecznie wydać ją chciała. Nie mówiła jej o tem, ale woziła się z nią po domach pokrewnych, gdzie tylko o młodzieży zasły-
szała.

I zamiast do Piekar, jechała z powrotem na Proszowice. Miała tam młodego Tarnowskiego jakiegoś na oku.

Pod noc trzeba było stanąć w gospodzie we wsi, gdzie dworu nie było. Deszcz lał i noc nadchodziła, a gospoda, zajęta przez powozy pańskie i dwór, nie mia-
ła wolnego kąta. Ale służba tych, co pierwsi tu zaje-
chali, zrobiła im miejsce i izbę jedną opróżniono.

Podróżną, która się okazała tak gościnną, była nie-
młoda już pani, jak Włodkowa i Anusia cała w kirze. Służba też jej i konie nawet miały odzież i kapy czarne. Posłano dowiedzieć się, komu dziękować miały i Włod-
kowa w ręce plasnęła, słysząc:

— Andrzejowa Wapowska, kasztelanowa prze-
myska! Żona to była niegdyś, wdowa dziś po tym,
którego Samuel zabił. Z nią pod jednym nocować da-
chem? Jej dziękować? — wołała poruszona Włod-
kowa.

Wtem Anusia wstała z ławy.

— Ale ja jej nictylko za gospodę dziękować powin-
nam — zawała gorąco. — Wołał i posyłał do niej Za-
mojski, aby na ojca za zabójstwo instygowała; odpo-
wiedzieć mu kazała, że Bogu pomstę poleca, a nad
uciśnionym przemocy wywierać nie chce...

Z gorączkowym pośpiechem Anna, ani słuchając
Włodkowej, wybiegła. Jak ojciec, nigdy ona nie na-

myślała się długo, gdy serce się w niej poruszyło. Wstrzymać jej już nie było można.

W drugiej izbie gościnnej zastała niewiastę poważną, we wdowim czepcu, z długim, czarnym różańcem w ręku, z twarzą spokojną i łagodną, zajętą chłopczykiem, który stał przy niej.

— Kasztelanowo! — zawała Anusia od progu — przyszłam wam dziękować, ale nie za gospodę! Nie, za miłosierdzie wasze, za wielką litość nad panem a rodzicem moim. Jestem córką Samuelową!

I płakać zaczęła.

Powstała powoli pani Wapowska, zbliżając się ku niej z twarzą smutną a łagodną.

— Dziecię moje, — rzekła — uspokój się! Nie masz mi za co dziękować... Pan Bóg mi dał pokój ducha i możliwość przebaczenia wszystkim, bo to jest prawo Jego, nie krew za krew, nie ząb za ząb, ale dobrem za złe płacić. I ja młodszą będąc, pobłędziłam też gorącą miłością dla pana a małżonka mojego i pragnęłam zemsty za niego. Wodziłam zwłoki jego do króla, nie dawałam pokoju senatorom, godziłam na życie ojca twoego, ale Bóg dał mi opamiętanie, a nauczył mnie, że pomsta do Niego należy, nie do nas, że my się mścić nie mamy prawa, a powinniśmy przebaczyć wszystko! **wszystko!**

— Jakto? wszystko? Nawet zdrajcy, który wydał na śmierć, nawet katowi, co zamordował? — przerwała Anna.

— Wszystko i wszystkim! — potwierdziła Wapowska. — Tak jest, dziecko moje. Pomsta Bożą sprawą być powinna, naszą — przebaczenie. Sędzią jest Pan nasz i mścicielem... a nam On kochać kazał nawet nie-przyjaciół.

Anna, jak gdyby po raz pierwszy w życiu podobne słowa słyszała, stała zdumiona, lecz biedne jej, długie uciśnięte serce zwolna otwierało się prawdzie.

Wapowska posadziła ją obok siebie i mówić zaczęła:

— Chrystus, Zbawiciel nasz, pierwszy nam przy-

niość to prawo milosierdzia, ten nakaz przebaczania. Mieści się on w Jego świętej modlitwie... „i odpuść nam nasze winy...“

— Więc zemsta nie jest obowiązkiem? — podchwyciła Anusia.

— Grzechem jest — ciągnęła dalej Wąpowska. — Dlatego ja, gdy mnie wezwał kanclerz, na ojcu twym wywierać jej nie chciała, nie mogła. Posłuszną byłam prawu!

Anna miała łzy na oczach, a na piersiach paliła ją chusta, krwią ojca zbroczona. Zwolna dobyła ją i rozłożyła na kolanaach.

— We krwi swej zmoczoną kazał mi oddać nieboszczyk — rzekła.

— Położyć ją u stóp oltarza, dziecko moje — odpowiedziała kasztelanowa — i Bogu przekaż ukaranie! Twoim obowiązkiem modlić się za rodzica.

Długo tak jeszcze mówiła kasztelanowa, a Anusia czuła w sobie uspokojenie wielkie. Zstępował na nią spokój, jakiego nigdy nie doznawała wprzody, łzy płynące ulgę jej przynosiły, i na sercu nie było tak ciężko.

Gdy potem pochyliwszy się do kolan kasztelano-wej, pożegnawszy ją, powróciła do Włodkowej, ta ledwie poznać mogła swoją Anusię, tak się w niej zmieniły myśla i uczucia. Cud się stał wielki.

Włodkowa przyznała się jej, dokąd z nią wybrała się w drogę, co Anna obojętnie przyjęła.

— Widzicie, — rzekła, potrząsając grubym kirem, którym była okryta — żałoba się nie godzi z weselem... Nie myślcie o tem, a gdy będzie można, zawieźcie minie z powrotem do Krakowa. Ze slugami ojcowskimi widać się potrzebuję.

Nie przyznała się siostrze, iż zemstę zdała na Luszickiego, a teraz już jej nie pragnęła — Bóg skuteczniej miał pomścić krew Samuela.

Następnych dni Włodkowa poznać dawniej namietnej dziewczyny nie mogła; stała się smutną a łagodną. Pytała, czy nie chora, — odpowiedziała, że owszem lepiej, niż kiedy, się czuje, a prosiła się do

kościoła, do którego Włodkowa chodzić dawno była odwykła.

Przed ludźmi utyskiwała wdowa.

— Jaką ja mam biedę z tem dziewczęciem, bo się jak pawi ogon mieni w oczach. Naraz złagodnieje jak baranek, to znów sroży się i wyrywa, jak wilczyca. Teraz na nią przypadło nabożeństwo i płacz... modli się i łzy leje. Długo to tego będzie?

Z podziwieniem Włodkowej pobożność i łzy trwaly; z niemi powróciła do Krakowa, do którego Anusia bardzo pragnęła dostać się co najprędzej.

Przyjechały wieczorem późnym i natychmiast Anna upominała się o Luzickiego, ale jej powiedziano, że go w Krakowie pod ten czas nie było. Czekać więc musiała, ale codzień słała pytać o niego i za każdym razem jej powiadano:

— Niema go jeszcze.

Włodkowa, śledząc ruch jej każdy, nie mogła nic zrozumieć.

— A co ci tak pilno Luzickiego widzieć? — zapytała.

— Stary sluga ojcowski, — odparła, oczy spuszczając, Anusia — radabym go zobaczyć. Dawałam mu różne zlecenia... nie wiem, czy je spełnił!

O Luzickiego tymczasem trudno się było dowiedzieć. Mówili znajomi, między innymi Borowski, który zawsze się tu chronił, że nagle wyjechał i nie mówił, kiedy powróci.

Nie śmiało dziewczę zapytać się go o Wojtaszka długo... naostatek raz wyszeptała nieśmiało:

— A Wojtaszka nie widziałeś?

— Nie — rzekł Borowski. — Widywalem go chodzącego z Luzickim, bo się coś bardzo z sobą pokumali, a to mi było przykro... potem Luzicki gdzieś pojechał, a o Wojtaszku ani slychu.

— Popytajże o niego na zamku, — dodała Anusia — masz tam pewnie znajomych.

Powlókł się tegoż dnia Borowski i powrócił zdy-

szany, bo mu z nogi obrzęklemi bardzo ciężko było chodzić. Zameldował się zaraz do panienki.

— Chodziłem na zamek dowiedzieć się o Wojtaszka, — rzekł, kłaniając się — ale ani muzycy, jego towarzysze, ani nikt we dworze nie wie o nim, a tak mało dbają o Wojtaszka, że nawet nie dochodzą, gdzie się podział. Ostatniemi czasy śpiewał dużo na mnieście i wesół był, a dobrej myśli. Mówią, że pana Cobara prosił, aby go ode dworu puścili, że chciał sobie gdzie indziej szukać szczęścia. Pewnie, nie doczekawszy się odpowiedzi, wziął nogi za pas i uszedł.

Ruszył ramionami Borowski.

— Niema się co o przecherę troszczyć... nie zginie to paskudztwo.

I splunął.

Czas upływał, a Luzickiego jak nie było, tak nie było.

Już pod zimę, gdy znowu Anusia przyjechała z Włodkową do Krakowa, a zapytała o niego, powiedziano jej, że nie wrócił. Domyślano się, że do stryjecznego na Podole się wyniósł.

Wtem jednego dnia, na chudym koniu, w opończy wydartej i połatanej, zjawił się Luzicki, ale zarosły, z brodą siwą, zapuszoną, że go ledwie poznali.

Borowski, który stał w podwórzu, zawała na niego.

— A toś się wyniósł! panienka się ustawnicznie o ciebie dowiadywała... co się z tobą stało? Myśmy już tylko za waszeci na podzwonne nie dali...

— Panienka jest tu? — zapytał Luzicki.

— A jest — rzekł Borowski. — Odziej się i idź do niej, bo oczy za tobą wypatrzyła.

Niespokojny poszedł zaraz konia postawić Luzicki, potem się przebrał, ale ubogo, bo mało co snać miał i pośpieszył do Anny.

Zobaczywszy go, dziewczę z krzykiem podbiegło ku niemu.

— A, Luzicki mój! Com ja się o ciebie natroskała... gdzieś ty był? Co się z tobą stało? Ani słuchu o tobie... a ja miałam tak pilną do ciebie potrzebę.

Obejrzał się stary niespokojnie dokola i obie ręce przyłożywszy do ust, stłumionym rzekł głosem:

— Rozkaz spełniony!

Anna uderzyła w ręce.

— Co mówisz?

Pochylił głowę na piersi stary i powtórzył:

— Spełniono, coście przykazali. Niema go... nema...

Zaczerwieniła się i pobladła Anna.

— A mój Boże? — zawała, lecz dokończyć nie miała siły.

Zdziwiony Luzicki postrzegł, że zamiast się uradować, zasmuciła się mocno. Sądził, że się ulękła może.

— Nikt nie wie o niczem, — rzekł — ja nawet... nie wiem. Dosyć, że go niema. Jak w wodę wpadł, bo może w istocie wszedł w wodę, kto to może wiedzieć... albo go może gdzie napilego w browarze zasiekli i przez wyrzucili, bo pił dużo... albo... wywendrował na drugi świat, sobie wiadomym tylko gościńcem. Dosyć, że ani śladu po nim. Na zamku coś w węzelkach po nim pozostało, chudoby niewiele, to, słyszę, muzykanci rozdzielili pomiędzy siebie, bo się już powrotu nie spodziewają. Lutnię po nim znaleźli pono u Krzaezkowej w gospodzie na ławie. Skąd się ona tam wzięła, — kto to wiedzieć może? Ja nie wiem, ja nic nie wiem, nikt nie wie i wiedzieć nie będzie.

Annie pytania na ustach zamarły, słuchała drżąca. Luzicki zamilkł, odchrząknął i raz jeszcze potwierdził:

— Dosyć, że się już po świecie włóczyć nie będzie. Nóżki całuje!

I wyszedł nagle.

Cheiała go jeszcze rozpyływać Anusia następnych dni, wołała do siebie, ale więcej o niczem dowiedzieć się nie mogła, prócz, że Wojtaszka na świecie nie było.

